

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI Warszawa, 15 styczeń 1950 r. Nr 2 (216)

TREŚĆ NUMERU: Raissa Maritain — Ku prawdzie; Artur Hutnikiewicz — Pół wieku „Ludzi Bezdomnych”; Tadeusz Chrzanowski — Szopka naiwna; Wanda Gładysz-Kościół św. Anny; Eugeniusz Paukšta — Przeciw rezerwatowi; Z bajek murzyńskich — Jeden sześćdziesięciu, tłum. J. J. Szczepański; Jan Dobraczyński — Strzały za horyzontem; Tydzień kulturalny: Leszcz — Pięć lat; Jerzy Artemski — Współczesność w zwierciadle sztuki; A. G. — Przegląd czasopism francuskich; Leszcz — Czarci Zleb.

Raissa Maritain

Tłum. Anna Iwaszkiewiczowa

K U P R A W D Z I E *

Te partie wspomnień R. Maritain, które poniżej drukujemy, są interesujące nie tylko ze względu na wskazanie w nich ważkich okoliczności towarzyszących nawróceniu małżonków Maritain. Są one ponad to pasjonującym dokumentem, a zarazem oskarżeniem epoki, której schyłkowe mieszczaństwo nadawało ton intelektualny. Skrajny sceptycyzm, agnostyczny materializm — oto typowe znamiona filozofii ginącego świata. Autorka szkicuje wyrazście sylwetki jego czołowych reprezentantów na przykładach prof. Le Dantec czy prof. Dereux.

Ruch neotomistyczny we Francji i potężny zryw myśli marksistowskiej miały stać się dopiero skuteczną reakcją filozoficzną na ów bezwład intelektualny prowadzący prosto w objęcia nihilizmu. Publikowany niżej fragment wykazuje nie-dwuznacznie bezpośrednio związki łączące agnostycyzm mieszczański z fazystowskim nihilizmem.

PIERWSZA MŁODOŚĆ

Siedemnaście lat! Zaledwie siedemnaście lat, a już najpoważniejsze zagadnienia duszy i umysłu domagają się odpowiedzi. Przeżyte już zostało jedno całkowite życie — dzieciństwo, wiek nieograniczonej ufności. Teraz nadszedł wiek młodzieńcy, którego cechą jest bezwzględność w wymaganiach i w sądach. W rzeczy samej młodość staje twarz w twarz z wszechświatem i wzywa go do walki, żąda zdania rachunku, wytłumaczenia się ze wszystkiego, bo ta pierwsza młodość występuje już jako oskarżyciel życia. Patrzy śmiało w twarz swych mistrzów, patrzy wzrokiem jasnym i czystym, z pałającym umysłem, z szeroko rozwartymi dłońmi, pustymi jeszcze, nie obciążonymi owocami nauki i mądrości, ale czystymi, jak jej spojrzenie.

Gdyby mistrzowie pamiętali czym była ich dusza z lat młodzieńczych jak drżeliby przed tymi, którzy przychodzą do nich z dziecinną jeszcze ufnością, ale już także — i z prawami sprawiedliwego sędziego. Ale mistrzowie tych czasów mimo swej dobroci, oddania, mimo swych rozległych kompetencji nie pamiętali jednak niczego ze swej młodości, — oni sami od dawna już byli zablakani. Z pokolenia na pokole-

nie oddalali się coraz bardziej od wielkich, podstawowych zadań umysłu ludzkiego. Olsniewający rozwój nauk przyrodniczych i bezgraniczne nadzieje przez rozwój ten rozbudzone, doprowadziły do lekceważenia zasady i wymagań prawdziwej mądrości. Do tej mądrości jednak tęsknimy i dążymy przed, i ponad wszelkim poznanem danym nam przez poszczególne nauki.

Mistrzowie o odpowiedzialności których względem licznych pokoleń studentów tu wspominam, to nie tyle uczeni, co filozofowie, a między uczonymi ci tylko, którzy, przekraczając zakres nauki przez siebie wykładanej i zakres swej kompetencji głosili mniej lub więcej świadomie pewną bezkształtną i prostacką metafizykę, gdzie znajdowałam — potwierdzony już tym razem przez mistrzów samych — ten naiwny empiryzm, mechanistyczny materializm, którego wyznanie słyszałam nieraz z ust ich uczniów.

Oto jaką była Sorbona na początku naszego wieku, w latach poprzedzających wojnę 1914 roku. Sorbona jaką znałam. Nie zachowała ona ani śladu, ani wspomnienia nawet swych mistrzów średniowiecznych. Wielkie amfiteatralne sale wspinały biblioteki udekorowane wspólnymi malowidłami, teraz zresztą przeważnie poczerńiałymi, lub zblakłymi. Ale nie znałam średniowiecza i nie przyglądałam się freskom, nie myśląc o tym czy są autentyczne czy podrabiane. Jak ten kot, o którym mówi Kipling, chodziłam własnymi drogami, snując się samotnie po salach i korytarzach pełnych hałaśliwej i gadatliwej młodzieży. Sama jedna, nie znałam nikogo. Nie rozmawiałam z nikim, nie starałam się zawierać żadnej znajomości. Mam do czynienia tylko z tymi mistrzami, którzy zapewne, zanim jeszcze zdołam postawić im jakieś pytanie dadzą mi uporządkowany obraz wszechświata, rozmieszczą wszystko na właściwych miejscach, po czym będę już wiedziała jakie jest moje miejsce na tym świecie i czy mogę przyjąć to życie, którego sobie nie wybrałam, a które już mi ciąży.

To co mną powoduje, to nie ciekawość; nie jestem żadna dowiedzenia się czegokolwiek, mniej jeszcze dowiedzenia się wszystkiego; nie jestem oszołomiona „zdobyczaniami nauki”; na razie zdobyte te są mi dość obojętne, jak coś istotnie wspólnego, ale nie dotyczącego się mnie bezpośrednio. Nie, naprawdę szukam tylko czegoś, co jest mi potrzebne, ażeby uzasadnić egzystencję, czegoś co wydaje mi się rzeczą niezbędną, jeśli życie ludzkie nie

ma być czymś bezsensownym i okrutnym. Potrzebna mi jest radość umysłu, światło, jakie daje pewność przekonania, potrzebna mi jest pewna reguła życia oparta na bezspornej prawdzie. Wobec takiego nastawienia umysłu powinnam była oczywiście zwrócić się przede wszystkim do filozofów. Ale nikt mi nic nie doradzał. A wierzyłam jeszcze, że nauki przyrodnicze posiadają klucze wiedzy ostatecznej.

Zapisuję się więc na wydział przyrodniczy. Chodzę na wykłady profesorów: Bonnier, Matruchot, Haug, Gentil, Datre i Lapique, potem jeszcze na wykłady Gaid'a i Le Dantec'a. Studiuję botanikę, geologię, embriologię. Rzecz oczywista, że żadne z moich „zagadnień” nie zostaje poruszone przez znakomitych uczonych, objaśniających nam budowę świata fizycznego. Są to podziwu godni badacze, lubujący się w spokojnej obserwacji przyrody. Ale ja chciałam tę przyrodę poznać w inny sposób, znać jej pochodzenie, jej istotę samą, jej cele. Pewnego razu zdobyłam się na odwagę powiedzenia o tym profesorowi Lapique. — „Ależ to mistyka!” — zawołał oburzony. Formuła wyrażająca zgorznienie, droga wszystkim przeciwnikom metafizyki i od tego czasu tyle razy słyszana przeze mnie w Sorbonie, gdzie służyła do potępiania każdego wysiłku umysłu chcącego wznieść się ponad zwykłe empiryczne konstataowanie „faktów”. Było to dla mnie pierwsze bolesne draśnięcie, pierwsze uderzenie godzące w zaufanie z jakim odnosiłam się do swych mistrzów.

NAJLEPSZY Z MOICH PRZYJACIÓŁ

Pewnego dnia, kiedy pełna melancholii wychodziłam z wykładu fizjologii roślin profesora Matruchot, podszedł do mnie młody człowiek o łagodnej twarzy, o bujnych, jasnych włosach i ledwo widocznej brodzie, o postaci nieco pochylonej. Przedstawił mi się i powiedział, że zajmuje się utworzeniem komitetu studentów, mającym na celu skłonienie pisarzy i profesorów do wystąpienia z protestem przeciwko metodom traktowania rosyjskich studentów-socjalistów w ich własnym kraju. (W Rosji miały miejsce w tym czasie rozruchy studenckie surowo tłumione przez policję carską). Poprosił mnie o udział w tym komitecie. Takie było moje pierwsze spotkanie z Jakubem Maritain.

Działalność tego komitetu polegała na uzyskaniu podpisów licznych przedstawicieli inteligencji francuskiej do listu protestacyjnego, który miał być i istotnie został przez

Jakuba doręczony ambasadzie rosyjskiej. Złożyłam z nim wtedy liczne wizyty u różnych znanych osobistości których nazwiska niestety pozapomniałam, nie dlatego, żeby nazwiska te przestały być sławnymi, ale nie pamiętam już u których z nich byliśmy wtedy z ramienia komitetu. Zdobyliśmy bardzo wielką ilość podpisów i listów. Niestety cenny ten zbiór autografów zaginęł.

W ciągu krótkiego czasu staliśmy się nierozłączni. Jakub posiadał już licencjat z filozofii, ale przygotowywał się również do licencjatu z nauk ścisłych i uczęszczaliśmy dzięki temu na te same wykłady.

Po wykładach odprowadzał mnie do domu; czasem przyłączali się do nas inni koledzy, ale przeważnie bywaliśmy sami. Mieliśmy przed sobą dość daleką drogę. Gawędy nasze nigdy nie miały końca. Jakub zaczął spóźniać się na posiłki do domu, co bardzo martwiło jego matkę i wyrażało w równowagi kucharkę, tym bardziej, że będąc w tych czasach pod urokiem idei Tolstoj'a wbił sobie w głowę, że będzie sam usługiwał do stołu. Kiedy później dowiedziałam się o tym wszystkim było mi bardzo przykro, ale czy mogliśmy wtedy myśleć o takich rzeczach! Czy istniało w ogóle coś ważnego wobec tego co mieliśmy sobie do powiedzenia? Musieliśmy przecież razem przemyśleć cały wszechświat, sens życia, los człowieka, sprawiedliwość i niesprawiedliwość społeczeństw. Trzeba było czytać współczesnych poetów i powieściopisarzy, chodzić na koncerty, zwiedzać muzea i wystawy... Czas płynął za szybko, nie można było marnować go z powodu banalnych spraw codziennego życia.

Po raz pierwszy mogłam nareszcie mówić o sobie, wyjść ze swych samotnych rozmyślań i podzielić się nimi, wypowiedzieć to, co mnie dręczyło. Po raz pierwszy w życiu spotkałam kogoś, do kogo miałam od pierwszej chwili bezgraniczne zaufanie, kogoś kto — wiedziałam o tym już wtedy — nie zawiedzie mnie nigdy; kogoś z kim mogłam porozumieć się tak dobrze na każdy temat. Widocznie Ktoś, pomimo dzielących nas tak wielkich różnic usposobienia i pochodzenia ustanowił między nami tę niezwykłą harmonię.

Jakub Maritain pogrążony był w tych samych głębokich zagadnieniach, co ja, te same sprawy go dręczyły, ta sama żądza prawdy górowała nad całym jego istnieniem. Ale był dojrzałym ode mnie, posiadał już więcej wiedzy i więcej doświadczenia, obdarzony był przy

tym niezwykle wprost zdolnościami. Stał się więc od razu dla mnie wielką podporą. Miał już wtedy bardzo intensywne życie wewnętrzne, pełen był dobroci i szlachetności; pozbawiony był wszelkich przesądów; miał jak gdyby zawsze nową duszę — stwarzającą bezustannie własne swe prawa; nie miał żadnego szacunku dla utartych ludzkich opinii — ponieważ miał najwyższy szacunek dla własnego sumienia. Posiadał tę właściwość, że każda dyskusja w jego obecności prowadzona na jakikolwiek temat rozpałała się do ostatecznych granic, z czego czynił mu już zarzut jego profesor filozofii w liceum. Był zawsze gotów do każdego szlachetnego wystąpienia, wszędzie gdzie chodziło o sprawiedliwość czy o prawdę. Jego kultura artystyczna była już wtedy na wysokim poziomie czemu sprzyjało jego wrodzone wy-czucie poezji i piękna plastycznego. Jemu właśnie zawdzięczam odkrycie olbrzymiego świata malarstwa. W jego towarzystwie po raz pierwszy zwiedziłam Louvre.

WRÓĆMY DO SORBONY

Doświadczenie innych, choćby największych nie wystarczy nigdy nikomu. Każdy musi sam przed sobą rozpocząć egzamin z zasadniczych spraw życia — tych w każdym razie, które mają dla niego najbardziej istotne znaczenie. Przewadziliśmy więc dalej naszą ankietę, nasze poszukiwanie prawdy.

Péguy był wtedy całkowicie oddany akcji, którą uważał za swe zadanie, podczas gdy dla nas sama zasada każdego działania, sama podstawa wszelkich przekonań była wciąż jeszcze przedmiotem poszukiwań.

Przez prosty błąd w definicji przypisywałam nauce wiedzę o zasadach samego bytu przyrody. Zywiliśmy nadzwyczajny kult dla uczonych; w tych czasach Francja miała ich wielu. W roku 1898 małżeństwo Curie dokonało odkrycia radu i stawa ich była bezsporna. Ale z czasem miałam się dowiedzieć, że uczeni nie cenią zbyt wysoko najwyższych zadań jakie stawia sobie umysł ludzki, w każdym razie nie widać po nich, żeby się tymi sprawami zbyttno przejmowali. Wartości czysto spekulatywne słabo ich interesowały; matematyka była ich zdaniem najwyższym szczytem, do którego danym jest sięgnąć człowiekowi. Zrozumiała namiętność przykuwała ich do świata, jako wspaniałej struktury, w ten sposób, jak piękno pejzażu przykuwa do siebie malarza; przywiązani byli do swych laboratoriów tak jak ma-

*) Drukujemy powyżej kilka fragmentów III-go rozdziału książki Raissy Maritain pt. „Les grandes Amities”. Ze względu na brak miejsca, w rozdziale III-cim pt. „Sorbona”, zmuszeni byliśmy pominąć fragment dotyczący malarstwa oraz wspomnienie o Ernście Psichari i Karolu Peguy.

larze do swych pracowni. Wydaje mi się, że pomiędzy wielkimi uczonymi, a artystami istnieje wyraźna zbieżność w tym, że i jedni i drudzy w odkrywanych prawach natury entuzjastują się głównie ich pięknem, a nie prawdą, leżącą u ich podstaw. Prawda jednak jest pojęciem nierównie szerokim; po- ciąga przez piękno rzeczy niewidzialnych i niematerialnych, nie mogących być przedmiotem nauki. To niebo spirytualne, tajemnicze metafizyki, nie zatrzymują na sobie umysłu uczonych, nie niepokoją ich wcale. Trzeba przyjąć jako fakt te różnice uzdolnień.

Jeśli uczeni nie filozofują zadawalniają się prostym empirycznym rozsądkiem. Ale czyż można być w pełni człowiekiem i w jakikolwiek sposób nie filozofować? W Sorbonie takiej, jaką znałbym, uczeni zajmujący się filozofią uznawali wyłącznie teorie takie jak mechanistyczny epifenomenalizm, skrajny determinizm, ewolucyjny monizm — jednym słowem doktryny zaprzeczające całkowicie istnienia umysłu ludzkiego i obiektywnego istnienia jakiegokolwiek wiedzy sięgającej poza doświadczenie oparte na danych zmysłowych.

Wszystkie te teorie razem wzięte stanowiły pewien mniej lub więcej ujawniony i uznany systemat, którym w parę lat potem Jakub w jednej ze swych pierwszych książek nadał nazwę „sycientyzmu”. „Sycientyzm — mówił — uważa matematykę za uniwersalne narzędzie i ostateczny regulator wszelkiego poznania... Inteligencję chce zastąpić całkowicie materialną doskonałością techniczną, na miejsce tego co może być ujmowane przez umysł ludzki stawia prostą możliwość konstruowania i zestawiania za pomocą elementów matematycznych i danych przestrzennych. Tym sposobem sycientyzm narzuca umysłowi ludzkiemu samą zasadę materializmu: to tylko jest zrozumiałe, co może być sprawdzone w sposób materialny. Dlatego też sycientyzm jest reprezentowany przez teorię mechanistyczną wszechświata. Ze wszystko w ogóle sprowadza się do przestrzeni i do ruchu, że nie ma we wszechświecie praw poza funkcjami matematycznymi — to nie było, zdaniem naszych uczonych teza, którą należało udowodnić, to było jedynym i wszechwładnym założeniem myślowym.

Naukowcy byli ostatecznie zmuszeni dojść do jakiegoś podstawowego punktu oparcia dla myśli, jakkolwiek właściwie zaprzeczali jej samodzielnemu istnieniu i musieli również odwoływać się wciąż do rozumu ludzkiego; ponieważ stwierdzenie najprostrzego faktu jest niemożliwe bez pewnego abstrahowania i uogólnienia; niepodobieństwem jest również stwierdzenie czegoś, czy też zaprzeczenie czemukolwiek jeśli nie zakłada się z góry, że wierzy się w procesy naszej inteligencji i uznaje się zasady, na których opierają się jej funkcje.

W ten sposób uczeni wypowiadali swoje twierdzenia odwołując się po prostu do zdrowego rozumu słuchaczy. I trzeba przyznać, że było to najlepszym stanowiskiem filozoficznym jakie mogli zająć, a także najlepszym sposobem nauczania.

Zastanawiałam się nieraz nad tym, jak mogli uczeni tak wybitni jak ci, których wykładów słuchałam i ci, których dzieła czytałam, godzić się na pozostawianie swego umysłu w stanie tak mglistym i niepewnym nie cierpiąc nad tym wcale; jak mogli nie widzieć, że każda rzecz „realna” dająca się ująć w sposób zrozumiały rozpycha się w nicłość gdy zdawało się, że jest bliska pochwylenia, gdyż te same „fakty”, święte — świętych — spadają się w proch twierdzeń czy-

sto empirycznych, bo to, czemu na ogół zaprzeczała panująca w tych czasach filozofia — to po prostu sama obiektywność naszego poznania, nasza wrodzona zdolność ujmowania rzeczywistości.

Stwarzało to dla umysłu atmosferę dziwnie rozrzedzoną, wywoływało jakieś nieokreślone zle samopoczucie. Pływalimy po wodach obserwacji i doświadczenia jak ryby w głębokościach morskich, nie mogąc nigdy dojrzeć słońca, którego mienie, silnie przyćmione, dochodzi do nich jednak częściowo. Trzeba było wznosić się do niebios nauki nie mając ku pomocy żadnego do- wodu realności naszego umysłu. Jakub rysował czasem jakieś koszarne postacie, które z największym wysiłkiem wznosiły się do góry ciągnąc się za własne włosy. Umiał zawsze łączyć pewną lekkość, pewien swoisty uśmiech ze sprawami najwyższej wagi. Ale ja traciłam zupełnie grunt pod nogami; byłam za słaba, żeby walczyć ze wszystkimi tymi tytanami nauki i filozofii, żeby bronić istotnej, podstawowej prawdy leżącej na dnie najgłębszej mojej intuicji i pograżałam się w smutku coraz bardziej.

FELIKS LE DANTEC

Ale cóż z tego! Trzeba było jednak choć na jakiś czas zostawić na boku te metafizyczne problemy. Wiedza naukowa, która była nam udzielana w Sorbonie była z punktu widzenia ściśle pozytywnej nauki wiedzą bardzo wysokiej klasy. I gdy byśmy nie byli się zajęli naukami przyrodniczymi, a raczej fizyko- matematycznymi zapewne oślnięliby nas odkrycia tyłu wybitnych uczonych co było by może na długi czas przytłumiło w nas ten głód wiedzy metafizycznej. Jaką rozkoszą dla umysłu było by np. słuchać wykładów Pawła Appell, lub Marii i Piotra Curie, genialnych uczonych i pełnych bohaterstwa pracowników, których osiągnięcia otworzyły nowe drogi dla nauki i dla nowoczesnych systemów leczenia. Na wydziale przyrodniczym, mniej obfitującym w wybitnych uczonych oboje z największym zainteresowaniem słuchaliśmy wykładów Feliksa Le Dantec, najbardziej przykuwającego, najświetniejszego z naszych profesorów.

Zauważył widocznie uwagę, z jaką słuchaliśmy go i zainteresowawszy się tak pilnymi uczniami postanowił poznać się z nami bliżej. Pewnego razu, kiedy staliśmy na przystanku tramwajowym na rogu rue Soufflot i boulevard st. Michel podszedł do nas i zaczął z nami rozmawiać jak ze starymi przyjaciółmi. Zaprosił nas również do siebie; chętnie przystaliśmy na te odwiedziny i w przyszłości powtarzaliśmy je dość często.

Prowadziliśmy z nim długie rozmowy, w ciągu których wykladał nam swoją filozofię — materializm. Mówił nam, i powtarzał każdemu kto chciał go słuchać, że on sam nie wątpi w prawdę materializmu, ale że, według niego materializm jest pewną wiarą tak samo nie dającą się dowieść, jak credo chrześcijańskie.

To twierdzenie Dantec'a wywoływało wielkie zgorszenie wśród jego kolegów bynajmniej nie skłonnych do uznania słuszności tego punktu widzenia.

Jeśli o mnie chodzi, to nie znałam zupełnie creda chrześcijańskiego, ale broniłam się również przed przyjęciem tej wiary materialistycznej, chociaż myślałam już nieraz, że zapewne trzeba będzie na tym skończyć prędzej czy później, że ostatecznie nikt nie podawał nam teorii bardziej logicznie skonstruowanej, a że skoro wszystkie inne w najlepszym wypadku zdobywały się na smętne „czy ja wiem?” teoria materialistyczna była jeszcze bardziej

godna przyjęcia. I ogarniał mnie smutek, gorzki smak pustki zalewał duszę, przed którą po kolei gasły wszystkie światła.

Le Dantec jednak, pełen entuzjazmu obiecywał nam świetną przyszłość naukową o ile będziemy pracowali według jego rad i wskazówek. Mielśmy szukać syntezy materii żywej i wykazać, za pomocą zrealizowania jej w doświadczeniu, tezy, że życie nie jest niczym innym jak tylko pewną, bardziej szczegółową kombinacją chemiczną. Lublił w ogóle ten rodzaj syntezy; dla niego inteligencja była tylko pewną „materią miękką żyjącą przy temperaturze 37 stopni”, a świadomość — epifenomenem.

Ale te piękne perspektywy nie cieszyły nas wcale. Na cóż ta synteza materii żywej, co władza nad światem fizycznym, jeśli sam sens życia i egzystencji w ogóle, jeśli cały świat moralny miał pozostać zagadką nie dającą się nigdy odcyfrować?

Le Dantec wyznawał ateizm, będący u niego, jak twierdził, czymś wrodzonym. Mówił nam, że nigdy, nawet w dzieciństwie nie był zdolny wzbudzić w sobie jakiegokolwiek wiary religijnej. Uczęszczał pilnie na lekcje religii, był nawet zawsze pierwszym uczniem w tym przedmiocie, ale nigdy, absolutnie nigdy nie zrozumiał co znaczy wierzyć w Boga.

Rzadko spotyka się ateistę tak przekonanego o swej prawdzie, tak całkowicie spokojnego. Od paru lat już skłaniałam się do ateizmu, właściwie zdawało mi się, że już nie wierzę w Boga, ale za cenę jakichże cierpień, jak bardzo czułam się zgubiona i zniechęcona, jak zrozpaczona do głębi duszy! Było to dla Dantec'a rzeczą zadziwiającą, ale nie budziło w nim niechęci do mnie, przeciwnie. Widocznie u nikogo do- tychczas nie spotkał jeszcze takiego niepokoju — i to z takich powodów! Przywiązał się z czasem bardzo do mnie i wydawało mi się, że powinien była powiedzieć mi o moich — na razie zupełnie nieoficjalnych jeszcze zaręczynach z Jakubem. Jednak nasze rozmowy stały się od tego czasu coraz rzadsze — z mojej winy, wkrótce urwały się zupełnie. Bardzo mi ich potem brakowało. Ten dobry, zacny, szczerzy człowiek zasługiwał na pełne zaufanie; przez niezręczność przerwałam cenne przyjacielskie stosunki, ale byłam wtedy zbyt młoda, żeby się nad tym wszystkim zastanawiać i postępowałam z gwałtownością i niezdarnością ruchów cechującą tych, co nie mają jeszcze ani doświadczenia, ani żadnej znajomości natury ludzkiej.

W kilka lat potem Le Dantec ożenił się z przyjaciółką Elżbiety Leseur, tej Elżbiety Leseur, która została po sobie tak zdumiewający pamiętnik, jakby przewodnik po drodze jaką doszła do wiary i której mąż, początkowo niewierzący jest dzisiaj dominikaninem. Czy przyjaźń z Elżbietą Leseur zdołała zwrócić uwagę Le Dantec'a na wiarę inną, niż wiara materialistyczna? Czy zdołała choć trochę rozluźnić ciasne więzy jego ateizmu? Pewne oznaki, o których dowiedzieliśmy się pozwalają nam żywić tę nadzieję.

W STRONĘ FILOZOFÓW

Radość, którą daje wiedza zdobyta w nakach przyrodniczych jest z konieczności ograniczona przez niezmiernie mały zakres zasad metafizycznych, z którymi ma związek i przez granice wytworzone samym ich przedmiotem. (Tak przynajmniej dzisiaj tłumaczę sobie dlaczego tak mało radości znajdowałam w tych naukach).

Ale tam, gdzie zaprzecza się w jakikolwiek sposób samemu obiektywnemu istnieniu naszej świadomości, tam zamiera całkowicie

wszelkie zadowolenie umysłu. Stwarzanie teorii, uważanych nie za wykładniki prawdy, lub choćby pewnych zbliżeń do niej założeń, a tylko jako pewne dzieła sztuki i twory wyobraźni, z mniejszym zresztą szacunkiem dla prawdy niż ma to miejsce w sztuce) staje się wreszcie pewnym kaleidoskopicznym pokazem, gdzie nadchodząca forma burzy poprzednio oglądaną; wszystko zmienia się co chwila, co może być źródłem radości dla oczu, ale dla umysłu, nie mającego możliwości zatrzymania się na żadnej z tych form jest to nieprzerwanym ciągiem rozczarowań.

Filozofowie, których wykładów słuchaliśmy na wydziale humanistycznym mieli każdy z osobna wiele zasług, erudycja ich była olbrzymia i mieli wysokie pojęcie o wymaganiach stawianych przez naukę. Ale trwali w ciągłej analizie szczegółów dotyczących przyczyn historycznych zjawisk, uważając ich wykrycie za jedyne i ostateczne swe zadanie, do tego prawie wyłącznie sprowadzając, umiłowanie mądrości — które sama nazwa ich zawodu powinna była im narzucać. Skłaniałi się całkowicie w stronę erudycji historycznej, lub matematycznej. U żadnego z nich nie znajdowałam określonej, pozytywnej teorii poznania; wnioski przez nich formułowane, jakgdyby prowizorycznie, pod wpływem tradycji racjonalistycznych, lub idealistycznych z którymi byli jeszcze związani rozpadały się w proch pod wpływem pozytywizmu i empiryzmu zarazem dogmatycznego i całkowicie jejowego.

Jeszcze za czasów, kiedy Jakub, wtedy szesnastoletni, uczęszczał do liceum na wykłady filozofii profesora Dereux (zwanego Dereuf, bo miał zwyczaj dodawać f na końcu każdego słowa) bywały, dnie, kiedy ogarniała go taka rozpacz, że tarzał się po podłodze w poczuciu bezsilności, bo na wszystkie pytania jedną odpowiedzią jaką otrzymywał było że nie ma odpowiedzi. Ten sam zawód czekał go w Sorbonie. Mistrzowie nasi, choć sami byli filozofami, właściwie mówiąc — nie wierzyli w filozofię.

Historia stawała się dla nich rodzajem królowej nauk, dziedziczącą — (mimo, że nie miała możliwości ogarnięcia ich) — wszystkie prawa odrzuconej metafizyki. W ten sposób nauka historii przez nich wynaturzona — gdy chcieli z niej uczynić naukę ścisłą par excellence, i od niej otrzymać ostateczne wytłumaczenie czym jest życie i myśl ludzka — drażniła tylko swą aragancją bezsilnością, kiedy poszukiwane źródła wymykały się wiecznie, uciekając od jednej przyczyny przypadkowej do drugiej.

Dziwna sprzeczność logiczna leżała w tym, że filozofowie chcąc wszystko „sprawdzać” za pomocą pewnej procedury opartej na erudycji czysto materialistycznej nie wierzyli jednak w ogóle w prawdę, której sama nazwa była im niemiła, i uważali, że wyraz ten powinien być wymawiany jedynie w cudzym ustnie, z blazowanego uśmiechu. Tragedia, której byli ofiarą polegała na tym, że głęboka i skądinąd chwalebna uczciwość ich umysłu przemieniała się u nich w nieufność w stosunku do prostoty prawd oczywistych, uważanych przez nich za naiwne syntezyfikacje, mające swe źródło w słowach, których prawdziwa treść już się zatraciła. Jedyną rzeczą konkretną jaką ostatecznie można było wyciągnąć z tej nauki była wykładana sumieniem i bezinteresownie był pewien integralny reletywizm, sceptycyzm intelektualny i — jeśli rozumowało się logicznie — całkowity nihilizm moralny. Młodzi ludzie wychodzili z ówczesnych uczelni jako jednostki inteligentne i wykształcone, nie mające jednak zaufania do żadnych idei, widzący

w nich pewne narzędzia retoryczne i stając się skutkiem tego zupełnie bezbronnymi wobec oczekujących ich zmagani umysłu i wszelkich konfliktów wytwarzanych przez życie. Sądzą, że wtedy właśnie zaczęliśmy w sposób na razie niewidoczny przegrywać wszystkie walki staczane przez ludzkość i przez Francję z narastającym nowym barbarzyństwem przez jakiś czas maskującym się pod pozorami kultury, a już pełnym hipokryzji, już gotowym do ślepego uwielbienia siły.

Ze wszystkich profesorów, których wykładów słuchał Jakub jeden był żarliwą wiarą, ale była to wiara w socjologię, a raczej nawet w socjologizm.

Niektórzy z profesorów byli ludźmi wierzącymi, ale nic z tego nie przenikało do ich nauki. Tak było z Wiktorem Delbos, znakomitym historykiem filozofii o umyśle prawym i głębokim, ale którego wykłady, jakby pogrążony półcieniem pozostawiały wrażenie dokładnego i drobniawego przegądu pięknych ruin. Znacznie później dopiero, podczas pewnej prywatnej rozmowy miał Jakub dojrzeć coś z najgłębszych myśli profesora, który powiedział mu wtedy, że Hegel był dla niego swego czasu straszliwą pokusą, i że tylko dzięki krytyce kantowskiej zdołał oderwać się od uroków panteizmu i zachować swą wiarę niekniętą pośród wszystkich systematów filozoficznych, których historii poświęcał całe życie.

Był także pan Edet, łacinnik emeryt, którego poprawki do prac z łaciny były arcydziełami rozrywymi przez uczniów.

Gabryel Sealle, raczej humanista i artysta niż filozof należał do intelektualistów z lewicy.

Brochard, niezrównany znawca filozofii greckiej był wymownym i dumnym racjonalistą, spychającym Poltyna do rubryki „wschodniego mistycyzmu” i uważającym go za niegodnego mianować się grekiem. Brochard na starość zaniewidział, ale mimo to nie przerwał swych wspaniałych wykładów na których cytował z pamięci całe ustępy z filozofów greckich. Jednak bezsilności studenci korzystali z jego ślepoty, ażeby opuszczać wykłady. Pewnego razu zdarzyło się, że Jakub i jeden z jego kolegów byli jedynymi słuchaczami niewidomego profesora. Nieszczęsny Brochard zwracał się jednak do sali jak do słuchającego go tłumy i chcąc udzielić uczniom swego entuzjazmu sprowokował ich pytaniem: „No cóż, panowie, co myślicie o tej idei Soików?” I gdy dwaj samotni słuchacze tym zaskoczeni zaglekli z odpowiedzią przejęci tragizmem tej sceny zawołał: „No, odpowiadajcie! Czyście wszyscy oniemieli?”

Wreszcie profesorem dla którego Jakub zachował najwięcej wdzięczności, choć wtedy przekonania ich bardzo się już różniły, był Lucjan Levy - Bruhl, wykładający historię filozofii współczesnej. W wykładach tych było wiele smutku i dziwnego chłodu, który robił wrażenie na studentach, ale dobroć profesora i szczerze oddane swym uczniom były wzruszające. Sądzę, że mimo pewnego zdziwienia, które Jakub w nim budził odczuwał szczerą sympatię do tego młodego studenta, pełnego zapału, trawionego głodem prawdy, wroga wszelkiego konformizmu i którego liryczny socjalizm musiał podobać się wiernemu przyjacielowi Jauresa. Levy - Bruhl, podobnie jak Durkheim miał głęboką wiarę w socjologię, ale nie wykladał tego przedmiotu w Sorbonie. Jego prace etnologiczne miały z czasem otworzyć przed nim szersze horyzonty. Jakub widywał go potem jeszcze czasami po skończeniu nauk, ostatnio nawet przed paroma laty, kiedy

(dokończenie na str. 10-tej).

Artur Hutnikiewicz

POŁ WIEKU „LUDZI BEZDOMNYCH“

Z rokiem 1949 minęła 50-ta rocznica pojawienia się w druku „Ludzi bezdomnych“ Stefana Żeromskiego. Jak dotąd w publicystyce literackiej pokryto ten fakt całkowi-tem milczeniem, a przecież ta właśnie rocznica nie powinna minąć bez echa. Bo „Ludzie bezdomni“ są książką pod pewnym względem wyjątkową, książką, której kariera należy do najbardziej może zawrotnych i zaskakujących w tak kapryśnych i zmiennych na ogół kolejach życia literatury. Napisana „jednym tchem“, w przystępie jakiegoś szczególnego nastroju i weny twórczej w kilku ostatnich miesiącach 1899 r., ukazała się w r. 1900 i wstępnym bojem zdobyła czytelników. Po dwu miesiącach trzeba już było myśleć o wydaniu powtórnym. Dla ludzi ówczesnych stała się bez przesady swoistego rodzaju „objawieniem“. Aby dziś zdać sobie sprawę z tej entuzjastycznej recepcji, trzeba przejrzeć choćby te tylko głosy czytelników, które zebrał prof. Konrad Górski w doskonałym komentarzu do powieści w wydaniu Wielkiej Biblioteki (Nr 143), trzeba sięgnąć do wspomnień osób, których młodość przypadła właśnie na okres pierwszych triumfów wielkiego pisarza. Reakcja krytyki była mniej zgodna. Zorientowano się dość szybko w ideologicznych niejasnościach i w artystycznych niedociągnięciach powieści, ale te głosy krytyczne na losach utworu nie zaważyły, zatarły się jakoś szybko i poszły z biegiem czasu w niepamięć. Najwybitniejsi krytycy ówczesnej gieldy literackiej wydali werdykt na ogół pozytywny, a ten osąd ogólnie stał się kamieniem węgielnym rozgłosu i sławy utworu. Ukoronowaniem „karier“ było podniesienie powieści do rzędu dzieł „klasycznych“, przewidzianych obowiązkowo w kanonie lektury młodzieżowej. W nieścistej, powierzchownej i jak zwykle upraszczającej interpretacji szkolnej książka uznana została rychło za typ reprezentacyjny powieści społecznej, za apoteozę poświecenia, a w programie obywatelskiego i społecznego wychowania młodej wyznaczono jej rolę przodującą i zasadniczą. W świadomości powszechnej ogółu zepchnęła ona na plan dalszy i przyćmiła nie jako wszystkie inne utwory Żeromskiego, który w odczuciu najszerszych rzesz inteligencji polskiej dwu ostatnich pokoleń jest przede wszystkim autorem „Ludzi bezdomnych“.

Wszystkie rocznicowe wspominki mają zazwyczaj dwojaki cel: są przypomnieniem i uczczeniem jakiejś osoby, jakiegoś faktu czy zjawiska — ale ponadto, bardzo często, próbą nowego na rzecz spojrzenia, z odmiennych, niż dotąd, pozycji. Pięćdziesiąt lat, to w życiu książki poważny szmat czasu, dla niejedynej zabójczy, tylko dla niewielu będący probierzem trwałości i żywotności. W każdym zaś razie półwiecze to dystans dostateczny dla bezstronnego spojrzenia na ludzi, rzeczy i fakty, wobec których niegdyś, z rozmaitych względów, nie zawsze można było zachować postawę obiektywną. „Ludzie bezdomni“ są właśnie takim zjawiskiem, które budzi szczególnie sprzeczne myśli, sądy i wrażenia. Zawrotna, w pewnym sensie zadziwiająca kariera tej powieści nie ma bowiem dostatecznego uzasadnienia w ideowych i artystycznych walorach dzieła.

„Bezdomni“ Żeromskiego ucho-

dzą za powieść społeczną. Już w tej jednak utartej, powszechnie przyjętej klasyfikacji zawiera się pewna nieścisłość. Typ literacki „Ludzi bezdomnych“ nie bardzo pokrywa się z tym pojęciem „powieści społecznej“, jakie urobiła sobie teoria literatury na podstawie obserwacji rozlicznych okazów tego genre'u, w oparciu o pogłębiającą się ustawicznie wiedzę o rozwoju i życiu społeczeństwa. Za powieść społeczną w ścisłym tego słowa znaczeniu jesteśmy skłonni uważać utwór, którego ambicją jest wnikięcie w mechanizm życia zbiorowego, ukazanie jego utajonych sprężyn, wykrycie rządzących życiem społecznym praw. Człowiek ukazany jest w niej w najściślejszym związku z otoczeniem, bo o to właśnie chodzi, aby odsłonić tajne powiązania i arterie, które wiążą indywidualność i zbiorowość w jeden nierozrwalny, mocno w sobie związany, wzajemnie uwarunkowany, żywy i pulsujący organizm. Klasycznym reprezentantem tak pojętego powieściopisarstwa społecznego jest Balzac, które dawał zadziwiająco ogromem wiedzy analityczne przekroje życia Francji w dobie Restauracji. O przynależności rodzaju utworu rozstrzyga zatem nie tyle sam „nagi“ temat, ile sposób jego traktowania.

Problem „bezdomności“ jest bez wątpienia zagadnieniem społecznym pierwszej wagi, jest — po prostu mówiąc — wielką sprawą, przebudowy ustrojowej. Tymczasem Żeromski potraktował rzecz dziwnie wąsko, indywidualistycznie, ograniczył problem do sfery przeżyć jednostki ukazując cały splot najbardziej palących kwestii w projekcji i aspekcie jednej tylko postaci. Uderza w koncepcji pisarza zadziwiający brak intuicji i wiedzy w traktowaniu właśnie spraw społecznych, brak tym więcej zdumiewający, że „Bezdomnych“ pisał przecież autor „Doktora Piotra“, który z taką druzgocącą logiką wyklada, staremu panu Cedzynie Marksowską teorię wartości dodatkowej. Zagadnienie, które przy najbardziej nawet sprzyjających warunkach, mogło być rozwiązane tylko potężnym, zbiorowym wysiłkiem, Żeromski uczynił prywatną niejako sprawą dra Tomasza Judyma. W tym fałszywym założeniu, w tym zwięźeniu pola widzenia zawarta była potencjalnie klęska za równo bohatera powieści, jak też autora. Powieść nie przynosiła żadnego rozwiązania, żadnej nawet na to nadziei, bo przynieść nie mogła. Nic więc dziwnego, że wielu czytelników do dziś odczuwa tę książkę jako krzyk rozpaczliwego człowieka, szamocącego się bezradnie wśród antynomii, sprzeczności i konfliktów życia.

Byłoby jednak uproszczeniem sprawy, gdybyśmy poprzestali na stwierdzeniu, że problem bezdomnych jest tylko kwestią czynu zbiorowego. Jest to poza tym niewątpliwie i zagadnienie indywidualne. Społeczeństwo nie jest abstrakcją, lecz zbiorowiskiem jednostek. Faktem społecznym staje się to tylko, co przejdzie przez świadomość poszczególnych indywidualności, a ewolucji ustrojowej towarzyszą równoległe i nieuchronnie zmiany w sposobie myślenia i odczuwania. Nie wyobrażamy sobie człowieka świadomego swych obowiązków i praw, współtwórcy losów swego pokolenia, który by najistotniejszych problemów życia zbiorowego nie

przetrawił i nie przemyślał jakoś sam w sobie, który by nie dążył do samookreślenia własnej wobec świata postawy. Mógł zatem Żeromski błędzić, kiedy obarczał swych bohaterów — i to nie tylko w „Bezdomnych“ — nadludzkiem zaiste ciężarem i odpowiedzialnością, mógł mylić się traktując zbyt indywidualistycznie i utopijnie zagadnienia społeczne, a jednak mimo to możemy sobie wyobrazić powieść o doktorze Judymie, napisaną poprawnie i przekonująco. Tylko nie była by to powieść społeczna, lecz raczej psychologiczne studium samouświadomienia ideowego jednostki, jakaś historia człowieka dopracowującego się w walce z samym sobą własnej postawy wobec zagadnień życia zbiorowego. W „Ludziach bezdomnych“ jest zaatek na studium powieściowe tego rodzaju właśnie wskutek zbyt wyłącznego skoncentrowania uwagi na przeżyciach postaci czołowej, ale zaatek ten został zmarnowany w założeniu przez fałszywą koncepcję bohatera.

Żeromski uczynił bohaterem swego dzieła jednostkę w pewnym sensie niezwykłą, wyjątkową, wyróżniającą się na tle codziennych stosunków życia. Dr Tomasz Judym, mizantrop mimo pozorów ogłady towarzyskiej, samotnik, obarczony od lat młodzieńczych ciężkimi kompleksami psychicznymi, które hamują jego swobodę i rozmach życiowy, jest typowym schizotypikiem o przewrażliwionej aż do chorobliwej neurastenicznej kompleksji. Judym pochodzi właściwie z tej samej rodziny psychicznej, co Korzecki, z ludzi, noszących w sobie nie jako od urodzenia zapowiedź klęski. Literatura powieściowa zajmuje się często i z upodobaniem tego rodzaju skomplikowanymi organizacjami psychicznymi. Jest to domena powieści psychologicznej. Ale powieść o pretensjach społecznych, o ukrytym intencjonalizmie wychowawczym (a takie są wszystkie utwory Żeromskiego), jeśli ma być instruktywna, jeśli istotnie ma pomóc czytelnikowi w zorientowaniu się w problemach życia, pobudzić przynajmniej do rozważań i samodzielnej pracy wewnętrznej, nie może ilustrować swojej „tezy“ społecznej na przykładach wyjątkowych, niezwykłych, odbiegających od normy. Historia lekarza - proletariusza, wyposażonego przez autora w psychikę inteligenckiego neurastenika, na skutek swej wyjątkowości nie orientuje nikogo w zadaniach życia, bo nie zachodzą żadne relacje pomiędzy sytuacją duchową bohatera powieści, a milionem zwykłych, przeciętnych, normalnych ludzi, do których przecież autor się zwraca. Tę słabość koncepcji przeczuwał nawet taki wielki biciel talentu Żeromskiego, jak I. Matuszewski, a K. Irzykowski z właściwą sobie pasją weredyka określił rzecz lakonicznie, prosto z mostu: „Może tam ktoś weźmie Judyma na serio, mnie on w chaosie zagadnień etycznych nie orientuje“.

„Ludzie bezdomni“ swoim jakskrawo indywidualistycznym stanowiskiem wobec zagadnień społecznych, swoją sentymentalną niemal tonacją, swoim wreszcie otchłannym pesymizmem tak przez cza zarówno antyindywidualistycznej taktyce politycznej socjalizmu, jak też bojowym, twardym, wyrosłym z afirmacji życia i wia-

ry w człowieka założeniom proletariackiej moralności.

Wspomniałem o pesymizmie. Powieść utrzymana przez cały ciąg trwania w tonacji molowej kończy się straszliwym, szarpającym nerwy dysonansem, sceną jedną z najboleśniejszych, jakie stworzyło kiedykolwiek pióro polskiego pisarza. Nigdzie, w żadnym dziele naszej literatury nie zamaniestował się w sposób tak przejmujący, beznadziejny pesymizm, niewiara w człowieka, w możność zmienienia czegokolwiek na tym świecie mocą woli ludzkiej. I trudno o bardziej paradoksalne zjawisko, jak powodzenie tej książki wśród młodych. Ta powieść przedziwnie smutna wyniesiona została do rzędu dzieł przodujących w kanonie lektury młodzieżowej, stała się ewangelią młodości, tej młodości, której znamię jest — wydało by się — bezwzględna afirmacja istnienia, rozpęd życiowy i twórczy optymizm.

Jako dzieło sztuki literackiej, z estetycznego punktu widzenia rozpatrywane, budzą „Ludzie bezdomni“ nie mniejsze zastrzeżenia i wątpliwości. Uderza przede wszystkim błędna kompozycja erotycznego wątku fabuły powieściowej. Erotyzm odgrywa w utworze rolę zasadniczą, bo w zjawisku miłości streszcza się jakby kusząca pełnia i uroda życia, przed którą bronił się bohater o wyczerpanym sumieniu. Potężnej, wielkiej idei obowiązku społecznego przeciwstawiona została kobieta, Joasia Podborska, jako symbol wszystkich ciarów i pokus ziemi. Judym odrzuca Joasię, ale ta ofiara druzgocę go jednocześnie. Tak sugeruje autor. Cóż z tego, kiedy zbyt długo, nie wiadomo po co, zajmował się Żeromski stosunkiem Judyma do demonicznej panny Natalii, tak długo, że nie starczyło w końcu czasu na głębsze, bardziej przekonujące odtworzenie dziejów miłości jego do Joasi. W rezultacie uczucie do panny Podborskiej wypadło tak błado, tak brak mu całkowicie znamion wielkiej namiętności, że ostatecznie nie wiemy, co o tym wszystkim sędzić, nie bardzo przekonuje ani końcowa rozpacz bohatera, ani w szczyrości i wielkości ofiary trudno nam uwierzyć.

Rola Joasi w akcji powieściowej jest całkowicie bierna. „Ludzie bezdomni“ zbliżają się w zasadzie do typu „powieści-portretu“. Nacisk semantyczny położony jest tu na postać czołową i w aspekcie odczuć i wrażeń tej postaci ukazany jest cały świat wyobraźni. I Joasia istnieje tylko w aspek-

cie myśli Judyma jako ucieleśniona możliwość realizacji marzeń o szczęściu osobistym. Dlatego też jako wykroczenie przeciw postulatowi harmoni i umiaru traktować należy nieproporcjonalnie dużo zajmujące miejsca „zwierzenia“ Joasi. To „wgłębianie się“ na 60 stronach w intymne przeżycia, myśli i nastroje postaci, którą jednocześnie prawie do końca trzyma się na marginesie akcji powieściowej, jest sprzeczne samo w sobie i niezrozumiałe w świetle ekonomiki pisarskiej.

Dzienniczek Joasi jeszcze z innego względu zasługuje na uwagę. W nim po raz pierwszy na większą skalę manifestuje się żywiołowy, nieopanowany liryzm pisarza, jego swoisty ekshibicjonizm, nie liczący się z rygorami sztuki literackiej, naruszający autonomiczną niezależność postaci, które w ujęciu autora będą stać się coraz częściej wyrazicielami jego osobistych myśli i uczuć. Wczytując się w dzienniczek Joasi czujemy wyraźnie, że nie są to zwierzenia skromnej gubernantki i nauczycielki domowej, lecz wynurzenia samego autora. Nie obiektywna sytuacja socjo-psychologiczna postaci determinuje i określa skalę jej możliwości duchowych, lecz nieskrępowana niczym woła twórcy. Zjawisko to rozpanoszy się, stanie się niemal regułą w dalszej twórczości autora „Popiołów“.

W wyniku tylu negatywnych spostrzeżeń, które nie wyczerpują bynajmniej listy zarzutów, jakie można by jeszcze tej powieści postawić, narzuca się spontanicznie, samo przez się pytanie, jakie to rzeczowe względy zadecydowały o entuzjastycznym przyjęciu książki tak niedoskonałej i zapewniły jej popularność na pół stulecia. Wydaje się, że odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać przede wszystkim w ówczesnym układzie stosunków społeczno-politycznych, w atmosferze historycznego momentu. Ostatnie lata XIX w. to okres jeden z najbardziej ponurych w naszych dziejach porobiorowych. Nigdy sprawa polska nie przedstawiała się tak beznadziejnie, jak po zawarciu aliansu francusko-rosyjskiego, którego bezpośrednim dla nas rezultatem musiała być likwidacja zagadnienia polskiego w skali europejskiej. Jest to okres wzmoczonego rozwoju ekspansywnej działalności Ostmarkenvereinu, osławionej Haksaty w zaborze pruskim, epoka eksterminacyjnej, wyniszczającej ekonomicznie kraj polityki rusyfikacji.

(Dokończenie na str. 4-tej)

Tadeusz Chrzanowski

SZOPKA NAIWNA

Jechała szopka, kukły parciane
na twardych, nieumoszczonych

Gra się zaczyna niemych kukielek,
(a święty Józef wołu się bol)

Jechała zmrokiem, jechała ranem
i w czas księżycy.

Już śnieżne młyny czas gwiazd

przemelły,

u tamtych choin.

(Słowa są ciężkie, trudne jak grudy,
które spod śniegu ujawnia płoza —
i jak śnieg wielkie są białe trudy:
jak obce morza.)

U tamtych choin przedziwne iskry —
(Józef truchleje, a ciemność krzepnie!)
zajrzyj Panienko, do swej kołyski,
otul Go ciepłej...

Ludzie skuleni pod wichrem — zmarzli,
machorkę ściągnęli wieźli stajenkę,
pozostawiając nocej bojaźni
Świętą Panienkę.

My nie spotkamy parcianych figur,
ostatnia okiść nad ranem spadnie...
a szopka w kopnym odjeżdża śniegu —
dokąd? — Odgadnij.

Wanda Gładysz

Świątynie Warszawy I

KOŚCIÓŁ ŚW. ANNY

Kościół św. Anny, postawiony na wysokiej skarpie, króńce nad Trasą W-Z. Po zburzeniu wiaduktu Pancera wyrósł nagle w oczach współczesnych i wobec ruin zamku, nabral on minującego znaczenia w tej części miasta.

Jest o. prawdziwie warszawskim bytkiem. Tak, jak całe miasto brał udział we wszystkich jego walkach i klęskach, dźwigał się z nich, rozkwitał, by znów krwawić i płonąć. Tak, jak całe miasto, powstawał i dobudowywał się w różnych epokach. Streszcza w sobie historię wieków.

Początek jego wylania się z mroków średniowiecza.

W Krakowie, siedzibie króla Kazimierza Jagiellończyka ścierały się już dwie epoki — średniowiecze i renesans. Pojawily się pierwsze jaskółki odrodzenia — humaniści włoscy. Z południowej krainy — Italii zjechał Callimach i objął pieczę nad gromadką synów królewskich, zaszczipiając im miłość do kultury antycznej. A jednocześnie biskup poznański — Andrzej Opaliński zaprosił do Polski Jana Kapistrana, świętobliwego męża, apostoła nauki św. Franciszka z Asyżu.

Dalekie Mazowsze, dzielnica ukryta w lasach, walcząca wciąż z groźnymi sąsiadami — Jadrzyngami, Litwinami, Prusakami, Krzyżakami, pozostawała w tyle za innymi dzielnicami Polski w pochodzie ku cywilizacji, ale i tu dotarła wieść o świętym mężu i jego pracy. Na prośbę ks. Anny mazowieckiej, żony Bolesława, a córki księcia Holszańskiego, biskup Opaliński osadził w Warszawie 6-u braci Bernardynów, a księżna zbudowała im kościół i klasztor. Było to w roku 1454. Kościół z czerwonej cegły, gotycki, hallowy, wzorowany na kościołach krzyżackich, z którymi Mazowsze było w ciągłych stosunkach handlowych i wojennych, a klasztor prawdopodobnie drewniany. I znowu, jak wszędzie, gdzie przeniknęła nauka św. Franciszka nastąpiło wzmocnienie i odrodzenie życia religijnego. Już w pierwszym zespole zakonników pojawił się Ładysław rodem z Opoczyńskiego, z Gielniowa, który szeroko zasłynął swymi cnotami. Wybrany przez braci na prowincjała zakonu przemierzał własnymi stopami, o kiju podróznym odległości pomiędzy 24-ma klasztorami, pozostającymi pod jego zarządem. Jego nauki niedzielne i świąteczne jedwały mu gorących wyznawców, a pieśni pobożne, podobne polnym ewangelicznym kwiatom śpiewane były chętnie przez rzesze prostactw. Odbił także pieszo pielgrzymkę do Rzymu. Gdy umarł w roku 1505 w aureoli świętości, ciało jego złożono w kościele św. Anny i już od 1572 roku rozpoczął biskup Karnkowski starania w Rzymie o jego kanonizację.

W roku 1507 kościół i klasztor zostały nawiedzone pierwszym pożarem. Bogaty mieszkaniec warszawski —

Baltazar odbudował świątynię, ale znów w 1509 r. „pogorzała”.

I oto druga Anna, z Radziwiłłów ks. mazowiecka, wdowa po księciu Konradzie, a matka ostatnich książąt mazowieckich Janusza i Stanisława dzwignęła z gruzów nawę główną w 1518 r. Prezbiterium zostało dobudowane później przez biskupa poznańskiego — Jana Lubrańskiego. Jest to właśnie ta absyda z czerwonej cegły podparta tympumy szkarpani, którą widać od strony Wisły. Z tych czasów także datuje się zapewne niska zakrystia o sklepieniu z żeber gotyckich, jak również korytarz o kryształowym sklepieniu osobiwość ceglano-gotyku w

nietwie. Po średniowiecznym gotyku przychodzi odrazu barok.

Przyszły na Polskę czasy „potopu” W r. 1657, gdy Jan Kazimierz zdobywał miasto, Szwedzi usadowili się w klasztornym ogrodzie braci Bernardynów i ustawili w nim armaty. Wielu zakonników zostało zamordowanych. Srebra klasztorne oddano na skarb państwa do przetopienia. Tegoż roku po raz drugi Warszawa staje się teatrem wojny i Rakocy wkracza do miasta. W tych walkach i zamęcie spłonął kościół i klasztor. W całym mieście zostało 342 domy. Całe ulice, jak np. Długa przemieniły się w pustynie, jedna strona Krakowskiego

bi. Ładysława. Inny brat, Paschale (Szoltz, czy Fiszler) 32 lata pracuje nad wykonaniem intarsji drzewnej w przednich szafach w zakrystii i konfesonatach, w drzwiach od zakrystii i na chór. Malowanie pochodzi z roku 1753, intarsja powstała w latach od 1726 do 1754. W tymże czasie w kościele pojawia się grobowiec Lubomirskiego istniejący do dzisiaj, jak również piękne stalle w prezbiterium w stylu rokokowym, odtwarzające sceny z życia zakonników (zdaje się Lexyckiego). Bractwo przy kościele funduje wspaniałe dwa wielkie dzwony, jeden 63, drugi 33-centnarowy. Spżówce ich głosy zostały opisane przez Jarzembkiego w starym poemacie z XVIII-go wieku. Fasada kościoła z tych czasów jest bardzo skromna o dwóch bocznych wieżach. Na placu przed kościołem składali stalle hold królom polskim margrabiowie brandenburscy.

Obecna fasada pochodzi z czasów króla Stanisława Augusta. Stanisław Potocki, gen. artylerii wystarał się o architekta i zebrał część funduszy potrzebnych do odbudowy. Pracował wówczas w Warszawie Aigner, wielbiciel włoskiego klasycyzmu, który jest w Polsce, jak gdyby przejściowym etapem między tą i następną epoką. Dał kościołowi fasadę wzorowaną prawie dokładnie na kościele św. Jerzego w Wenecji w stylu Palladia. Front ozdobiony jest centralną wnęką, wysokimi korynckimi kolumnami spoczywającymi na wysokich piedestałach. We wnękach stoją figury 4-ech ewangelistów, dłuta Monaldiego, ofiarowane przez króla Stanisława Augusta. W medalionie znajdował się herb państwa zakryty potem obrazem pędzla Murzynowskiego. 1/3-ą ogólnych kosztów pokrył niejaki Kwieciński, stały mieszkaniem Mariensztatu. Ow „kiftwa mariensztacki” jako go nazywa Potocki został osobiście zobligowany przez króla do złożenia ofiary na kościół i uczynił to pod warunkiem, że będzie uwieczniony jako dobrodziej kościoła. I istotnie w napisie na froncie kościoła wyryte jest jego nazwisko poniżej królewskiego imienia.

W r. 1788 odsonięto nową fasadę kościoła. Aigner zaprojektował również odbudowę wieży, którą połączył arkadami z kościołem, tak, jak to dzisiaj oglądamy, otwierając rozległy widok na Wisłę. Z drugiej strony dorośli galerię kolumnową na froncie klasztornym, naśladując do pewnego stopnia łuki Teatru Marcellusa w Rzymie. Na parterze tejże galerii mieściła się korydegarda.

Jeszcze później w r. 1836 dobudowana została kaplica Loretańska w stylu klasycyzm celem pomieszczenia figury Matki Boskiej z kościoła na Pradze, spalonego przez Francuzów. W tymże roku postawiono przed kaplicą figurę Matki Boskiej — roboty Czajkowskiego.

W r. 1864 następuje katastrofa zakonów w Król. Kongresowym. W klasztorze znajduje pomieszczenie Muzeum Przemysłu i Handlu, kościół staje się parafialnym. W r. 1893 ks. Siewierski przeprowadza częściowy remont kościoła przy dużym zainteresowaniu prasy i społeczeństwa. Cenne freski z XVIII-go wieku brata Zebrowskiego były już uprzednio uzupełnione przez Zaleskiego „perspektywistę”, malarza starej Warszawy, zwłaszcza jej kościelnych wnętrz, potem restaurowane przez Strzaleckiego niezbyt umiejętnie. W przedsiönku pod tyńkiem odkryto piękne portale z XVII-go wieku z piaskowca. Dawny przewodnik po Warszawie podaje jako skarby kościoła inkrustowane szafy i konfesonajny stalle rokokowe w prezbiterium, grobowiec Lubomirskiego z 1727 r., nadto wiele starych obrazów. Najstarsze podpisane przez Zmudzkiego Stanisława, wyzwoliciela Adama z 1596 r., szkoły włoskiej XVII-go wieku, Hadziewiczza, Pierscha, Gładyka, nadto piękny stary relikwiarz srebrny z XVII-go wieku. Niektóre z tych cennych pamiątek przeszłości przepadły bez śladu, inne są w stanie restauracji, prawdopodobnie dalsze prace odkryją jeszcze część zaginionych przedmiotów. W r. 1902 organizacje śpiewacze młodzieżowe fundują obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, umieszczony nad absydą kościoła od strony Wisły, wreszcie w 1928 r. kościół oddany zostaje młodzieży akademickiej.

W roku 1939, w tragicznym wrześniu, kaplica Loretańska ulega dwukrotnemu zniszczeniu. W roku 1944, podczas gehenny powstania, dwukrotnie palą się dachy, zapala się dzwonnica, topią się dzwony. Polichromia brata Zebrowskiego ulega prawie zupełnie zniszczeniu, organy

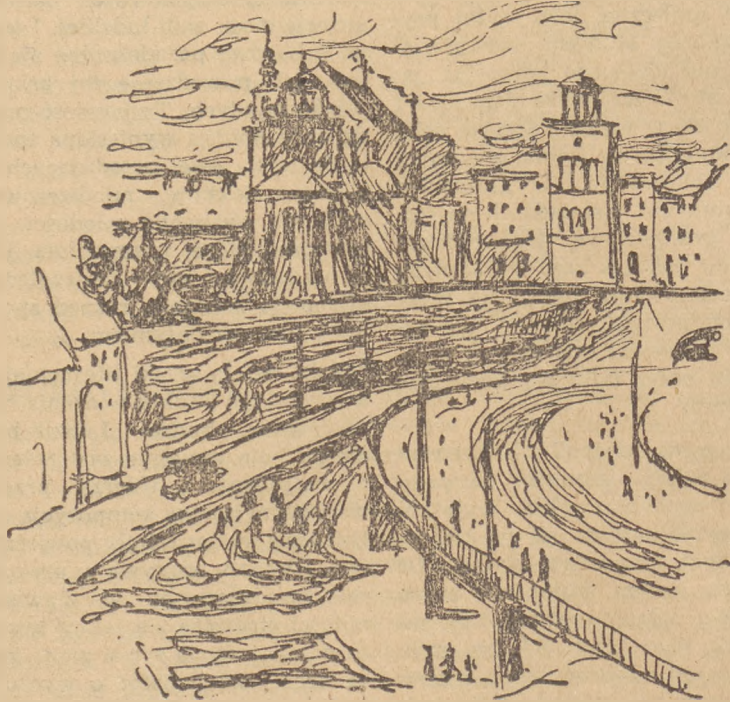
zostały pogruchotane, zginęły przedmioty kultury — kielichy i monstrancja.

Poważne prace konserwatorskie rozpoczęły się w kościele już w latach 1937 — 38. Wtedy to odsonięto w absydzie gotyckie mury, skarpy i ostrobukowe wnęki okienne. Zaraz po wojnie rozpoczęła się powolna odbudowa kościoła, która potrwa zapewne jeszcze parę lat. Nadzór architektoniczny sprawuje inż. Trybilska, która już przed wojną prowadziła tu prace z ramienia Urzędu Konserwatorskiego. Przede wszystkim zabezpieczono gotyckie części: świątyni, orestaurowano kryształowe sklepienie korytarza. Położono dach o szałowej konstrukcji, kryty blachą miedzianą, odbudowano dzwonnice, przywracając jej dawny wygląd. Odtworzono helm barokowy na wieży obronnej.

Jakby mało było kataklizmów dziejących, inne jeszcze niebezpieczeństwa czyhają na ten kościół. Już w r. 1906 zaczęła obsuwać się ziemia od Mariensztatu, rozpychając mur podporzącający zbocze. W r. 1946 huragan szalejący nad Warszawą zawala sklepienie nad chórem i jeszcze więcej niszczy organy. Wreszcie w maju i czerwcu 1949 r. zaważono tworzące się rysy w posadzce, murach i sklepieniu, powiększające się z każdą godziną. Podskórne wody, których działalność ograniczona była silnymi podmurowaniami skarpy, obecnie przy wykopie Trasę W-Z stały się groźne. Powołano cały aeropag naukowy i przystąpiono do natychmiastowej zabezpieczającej akcji, najpierw w samym kościele, potem dokoła jego fundamentów, umacniając je wieńcem stalowym betonowanym. Równocześnie przeprowadzono roboty mające na celu umocnienie samego gruntu podminowanego wodami; wzdłuż zjazdu na Powiśle postawiono maszyną ścianę oporową i zastosowano wiele specjalnych zabiegów zabezpieczających. Po paru dniach zaważono, że niebezpieczeństwo zostało opanowane. W przyszłości przeprowadzić się jeszcze zapewne prace inżynierskie celem odprowadzenia niebezpiecznych podziemnych wód.

Kościół służy do użytku akademików od jesieni b. r., pomimo, że roboty restauracyjne wnętrza trwają w całym toku. Na 1-go stycznia 1950 roku uporzadковано przednią część kościoła, do głównego ołtarza. Organy i boczne ołtarze są już orestaurowane. W zakrystii od 2-ch lat trwa precyzyjna robota przy rekonstrukcji inkrustowanych szaf i konfesonajów. Kaplice bi. Ładysława z Gielniowa i Matki Boskiej Loretańskiej są w odbudowie. Natomiast prezbiterium, najwięcej uszkodzone, jak również rokokowe stalle, które szczęśliwie ocalały, jeszcze czekają na swoją kolej. Restauracja fresków nie będzie rzeczą łatwą.

Wanda Gładysz



Polsce. Całą budowę kierował jeden z zakonników, Antoni z Biecha.

Po śmierci ks. Anny, syn jej Stanisław wystawił matce wspaniałe pomnik w kościele. Niestety został on zupełnie zniszczony podczas wojen szwedzkich.

Trzecia Anna patronująca tej świątyni, to Anna Jagiellonka. Przebywając długie lata w Warszawie upamiętniła się stolicy wieloma dobrodziejstwami i budowlami. Ona to wzniosła wieżę-dzwonnicę, różniącą się tym od budowli krzyżackich, że stoi oddzielnie, niezłączona z kościołem. Wieżę taką włączono do systemu obronnego miast broniły kościółów w razie wojny. Anna Jagiellonka utworzyła też bractwo przy kościele św. Anny, istniejące do ostatnich czasów. W r. 1620 dobudowana zostaje kaplica bi. Ładysława z Gielniowa, już w stylu baroku (Warszawa nie przeżywa wcale okresu renesansu w swoim budow-

Przedmiescia straciła wszystkie domy. Dopiero w 1660 roku powrócili zakonnicy i zaczęli się odbudowywać. W r. 1701 sprowadzili ze Śląska wspaniałe organy, istniejące do dzisiaj. W r. 1708 w mieście wybuchła zaraza, mieszkańcy gromadnie opuszczali Warszawę, a pozostali palili prochy, aby się ustrzedz od „złego powietrza”. I znów wybuchły w mieście pożary, ogień przeczucił się na wieżę i stopił dzwony.

Nowy kościół buduje się w stylu barokowym. W roku 1753 papież ogłasza wreszcie Ładysława z Gielniowa, błogosławionym. Następują dobre czasy dla kościoła. Zakonnicy poświęcają wiele czasu, starań i pieniędzy na przyozdobienie swego przybytku. Powstaje wiele ołtarzy w stylu epoki, lubiącej się w przepychu i złoceniach. Kościół zaludnia się posągami świętych i aniołów. Utalentowany brat Zebrowski mauje sklepienie w kościele, w prezbiterium i w kaplicy

Pół wieku „Ludzi bezdomnych“

(Dokończenie ze str. 3)

cyjnej caratu w Królestwie. Ideologia trójjózalizmu zdaje się przeżywać moment swego apogeum, a na tle powszechnego zubożenia mas robotniczych w zaborze rosyjskim, osławionej nędzy w Galicji, którą ilustrował przerażającymi cyframi Stanisław Szczepanowski, pełni się wśród ugodoowo nastrojonych warstw posiadających, zwłaszcza dorabiającego się w szybkim tempie kapitalistycznego mieszczaństwa, jakiś kult „połaniecczyzny”, „ideologia” groszობstwa, bolesna karykatura dawnych haseł pozytywizmu. I oto na gle w te zastoiny, martwe, zatechłe wody bezideowej vegetacji pada książka przedziwna, niezwykła, książka, jakiej nie znała dotąd literatura polska. Trzeba przegłębnać, przypomnieć sobie społeczne nowele czy powieści Prusa lub Orzeszkowej, a potem odczytać choćby parę stron tylko z „Ludzi bezdomnych”, aby zdać sobie sprawę, czym była ta powieść, czym był sam język, styl, patos tego utworu dla ówczesnego przeciętne go inteligentnego Polaka.

Nikt nigdy dotąd w Polsce nie

mówił w ten sposób o sprawach społecznych. Już to samo, że pośród straszliwego milczenia odezwał się nagle głos płomiennego protestu, protestu pisanego słowami, w których czuło się żywą krew, już to samo było wydarzeniem tak niepospolitym, że doniosłością swoją i wyjątkowością przesłoniło wszystkie ideowe i estetyczne niedobory dzieła. I w tym zawiera się historyczne znaczenie „Ludzi bezdomnych”, społeczna waga tej powieści, której ukazanie się przed 50 laty było bez mała czynem narodowym.

Uznając jej historyczną rolę zdać sobie jednak sprawę musimy ze wszystkich jej — jak wspominałem — ideowych i artystycznych niedomagań. „Ludzie bezdomni” nie są dziełem klasycznym, wprost przeciwnie, są jednym ze słabszych utworów pisarza. Powieść jest błędna koncepcjonalnie, przytłacza rozpaczliwym pesymizmem; fragmenty przedziwnej piękności, oszałamiające w niektórych partiach piękno języka nie stworzyły niestety całości harmonijnej i zgranej. Pod

tym względem są „Bezdomni” w dziejach twórczości Żeromskiego utworem symptomatycznym, stanowią tych dziejów punkt zwrotny i przełomowy, rozgraniczający dwie epoki: epokę opanowania, po wściągłości, umiaru, która przyniosła pierwsze opowiadania, nowele i najlepszą bez wątpienia powieść „Syzyfowe prace”, i epokę drugą, epokę sławy, rozgłosu, żywiołowego, nieskrępowanego żadnymi ograniczeniami rozpędu twórczego. Ale entuzjastyczne przyjęcie tej powieści przez wszystkich niemal czytelników i wielkość krytyków, nie tylko umocniło Żeromskiego w jego pozytycki pisarskiej, ale ponadto i w jego „złych” skłonnościach i predyspozycjach. Odtąd rozpoczyna się ta gorączkowa twórczość, jedna z najbardziej zastanawiających i ciekawych, w której wysoki lot natchnienia, doskonałe piękno, poezja najczystszej próby, graniczyć będą o miedzę z mieliznami surowej, dziennikarskiej publicystyki, taniej agitacji i zdumiewającej nieporadności intelektualnej.

Artur Hutnikiewicz

NA ZAMÓWIENIA
KIEROWANE

DO

ADMINISTRACJI

„DZIŚ I JUTRO“

SP. WYD. „PAX“

WYSYLA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CORY
KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPŁATE
ZŁOTYCH 750 za EGZ.
NA KONTO PKO I-8515
LUB PRZEKAZEM
POCZTOWYM

Eugeniusz Pauksta

Ziemia za warszawską miedzą (8)

PRZECIWIW REZERWATOWI

Starosta jednego z najdalej na północ wysuniętych powiatów, w zakończeniu dyskusji gwałtownie wzrusza ramionami:

— Tu żadna akcja zzewnątrz nie wiele pomoże, jeżeli na miejscu nie zjawi się kilka choćby osób o wielkim rozmachu i nie zaabsorbowanych od świtu do nocy sprawami zawodowymi, przy tym społeczników pierwszej klasy...

Rozmowa tyczyła się spraw kultury i beznadziejnej sytuacji na jej odcinku w tymże powiecie.

Lekarze wzdychają rozpaczliwie między jedną operacją a drugą, między jedną dziesiątką chorych do zabicia a następną:

— Dajcie nam tu ludzi, bo zginie my i nie sprostamy robocie...

— Przyślijcie nam prelegenta choć raz na miesiąc. Nauczcie nas co i jak czytać — proszą robotnicy walcowi w Reszlu.

— Nakładając coraz nowe obowiązki społeczne, nikt nie myśli jednocześnie o tym, że mimo najlepszych naszych chęci, już i temu, co teraz robimy, poddać dalej nie sprostamy — skarży się nauczyciel wiejskiej szkoły w olekiem, jednocześnie instruktor oświatowy „Samopomocy Chłopskiej”, kierownik kursów repolonizacyjnych, pełnomocnik akcji dla zwalczania analfabetyzmu, mówca okolicznościowy na najbliższą okolicę, delegat Inspektoratu Kulturalno - Oświatowego „Czytelnika”, piastujący poza tym jeszcze z pięć funkcji, których, daleko, naprawdę już nie mogłem spamiętać. Chcąc każdy z tych obowiązków wykonać sumiennie, z pełnym poczuciem odpowiedzialności, trzeba mieć nań czas. Jak go znaleźć w 24 godzinach dnia, nie wiem. Problem w tym, że i nauczyciel ów też nie wie. Sama praca w szkole pochłania już multum jego energii i czasu. O życiu rodzinnym w ogóle nie ma mowy...

Parafie mazurskie nie wszystkie są obsadzone. Znam piękne, zabytkowe nawet kościołki wiejskie, stojące pustką, niszczone w niedopatrzeniu, a parafian udających się do świątyni, odległych o 15 a to i więcej nieraz kilometrów. Brak kapłanów. Niektórzy z nich harują ponad możliwości ludzkiej wytrzymałości. Obsługują po dwie, a i po trzy parafie. Jeden ze znajomych proboszczów, po odprawieniu rannego nabożeństwa niedzielnego w miejscu swego stałego zamieszkania, wsia-

da na rower, by pędzić 16 kilometrów dalej, odprawiać tam Mszę Św., wygłosić w jej trakcie kazanie, a potem znów pedałowac co siły w nogach, by na czas się pojawić u ołtarza z uroczystą sumą dla własnych parafian. Tu drugie kazanie, potem chrzty, śluby jeszcze, tysiące innych spraw, a tu już nieszpory, znów interesanci... do ciemnej nocy. Od rana znów dzień zajęty tak samo. To lekcje katechizmu dla dzieci, to wyjazd do chorego, znów jakieś sprawy społeczne, i tak bez końca. Tu też słyszy się wołanie o ludzi.

Na brak odpowiednich ludzi do pracy w terenie na każdym odcinku narzekają wszyscy. Administracja, kościół, placówki przemysłowe i handlowe, rolnictwo, partie, związki i organizacje spółdzielcze czy społeczne. Wszędzie problem zostaje w pewnym punkcie otwarty, rozmach pracy zahamowany, no bo, stara gadka, nec Hercules...

To jest sprawa pierwszoplanowa. Koło niej obraca się wszystko. I żadna akcja w takiej czy innej dziedzinie, nie wyda pełnych rezultatów, a najwyżej cząstkowe, jeśli w ogóle nie spali na panewce, o ile Mazury nie dostaną ludzi. Ludzi aktywnych, o dużym wyrobieniu społecznym i dużej znajomości terenu i jego problemów.

Mazury i Warmia są terenem niebywale atrakcyjnym. Nie tylko pod względem turystycznym - krajoznawczym, o czym się nareszcie, chociaż powoli, zaczyna Polska przekonywać. Atrakcyjność ta tkwi przede wszystkim w wyjątkowo wdzięcznym gruncie, na którym każdą pracę można tutaj budować. Pozory zdawałyby się przeczyć powyższej mojej opinii. Ciemne barwy, jakimi, chcąc być szczerym publicystą, a nie propagandowym gardłaczem, odmalowałem wiele zjawisk dzisiejszych dni na Mazurach, przy całej swej prawdziwości nie przesłaniają jednak i drugiego wymiaru widzenia tej ziemi. Bo niski poziom kulturalny nie przeczy temu, że pęd do kultury jest tu wyjątkowo po prostu silny, chłonność olbrzymia, tęsknota prawdziwie głęboka. Mizerny jeszcze stan rolnictwa nie wyklucza wszelkich danych jego przyszłego rozwoju. Porównajcie no tylko, jak ta sama rola wyglądała w roku 1945, jak na palcach liczone były konie, a jak wiele było plugów ciągniętych przy orce przez ludzi, jest oset, bylina i perz wiodły wokół, jak poniszczony był gospodarski i rozbebeszony inwentarz martwy — z tym, co zostało osiągnięte już dzisiaj, przy mniejszej niż gdziekolwiek indziej pomocy odgórnej, jedynie naprawdę potliwym, ofiarnym znojem polskiego chłopca — a na pewno optymizmem na przyszłość w faktach tych znajduje pełne uzasadnienie. W Warszawie okres przygotowawczy do od budowy też pochłoniął najwięcej czasu, aż larum podniosło się wokół, kiedy już wreszcie... i raptem, nie wiedzieć kiedy, wyrosły linie średnicowe, dzielnice robotnicze, kolosy urzędów, wspaniała Trasa W—Z. Na Mazurach przygotowania takie rozpoczęto o wiele, wiele później, o parę lat później. A spojrzcie, jak wygląda dzisiaj już Olsztyn, ba, jak wyglądają niektóre, nieliczne co prawda dotąd, małe miasteczka. To wszystko własnymi siłami. W tej proporcji miliony metrów uprzągniętych z gruzu ulic, setki tysięcy założonych cegłą wypalonych okien, i gdzieś tam odbudowane już domy — wyrastają do wymiarów ma-

zurskiej W—Z! No, a szkolnictwo. Żeby mi kto dokładnie cztery lata temu próbował wmawiać, że będzie dziś tak jak jest, uznałbym go za wariata. Bo widziałem wtedy mizerne, brudne izdebki szkolne, widać dziećmi nie umiejące po polsku, a brnące w mróz i śnieg do szkoły, zakutane w jakieś worki i łachmany; idące do szkoły, by tam się zagrzać przy piecu i może otrzymać drugie śniadanie. Widziałem nauczycieli razem z ludnością okoliczną narzekających na mocno doskwierający głód, uczących bez pod ręczników, bez żadnych pomocy naukowych, jedynie z zapalem i naprawdę z wyczuciem (nie boję się tu użyć tego wielkiego słowa!) puślanictwa swego na tej ziemi. Nie wierzyłem, by zapal mógł stwarzać aż takie cuda. Dziś wierzę! Bo widzę, na jakim poziomie dosłownie z niczego, a przeciw wszystkiemu szkolnictwo to jest, stoi mocno, rozwija się, wraca tam, skąd w latach 30-ych ostatnia jednoosobowa (!) szkoła polska prowadzona przez zapalczyka z Zielonego Śląska Jerzego Lanca, przestała istnieć po skrytobójczym zamordowaniu go przez hitlerowców. Czy nie kryje się w porównaniu stanu dzisiejszego szkolnictwa na Mazurach z czasami Lanca, a potem z rokiem 1945, nawet 1946 — coś głębszego, bardziej znaczącego, niż efekt zewnętrzny? Czy nie ma w tym głębszych symboli? Nawet administracja, przy całym swym lokalnym zbiorokartykowaniu, czyż nie jest przejawem naprawdę wielkiego naszego zmysłu organizacyjnego? Gdy nawet w Olsztynie dość długo jeszcze i powywiezieniu Niemców słyszano się na peryeriach język niemiecki, nie mówią o terenach, dalszych, dziś polskość ukrzepła, wróciła pod czupryny ludności rodzimej. I dziś już tu i ówdzie słyszane słowo niemieckie nie przeraża. Jest czymś tak nieistotnym, jak gdzieś pozostały jeszcze niemiecki napis reklamujący „Henkla” proszek do prania...

Tyle o pozorach. Wracam do sprawy atrakcyjności Mazur na każdym odcinku działania.

Każda inicjatywa znajdzie tu gorliwych entuzjastów. Z jednym warunkiem — inicjatywa ta musi być rozsądna. Musi mieć w sobie te elementy, w stosunku do których przystawiający „chłopski pomysłu nek” nie nastęrczałby wątpliwości co do realnego urzeczywistnienia projektowanej akcji. Tu nie ma kłpiny. Stwierdziłem to sam niejednokrotnie, a potwierdzają liczni rozmówcy mazurscy. Że chłop nasz ma kapitalne wyczucie, nieomalże instynktowne, przedstawianego mu do rozstrzygnięcia problemu. Nie przeszkadza temu brak wykształcenia, zupełny częstokroć uśór kulturalny. Opinie, jakie dał się słyszeć na zapadłej wsi, zdumiewają jakże często głęboką swą logiką i trafnością oceny. Może to sprawia dystans dzielący chłopca jeszcze dziś od wielu najistotniejszych zagadnień kraju, może bezpośrednie zblizenie z naturą, gdzie nie ma miejsc na przypuszczenia i dociekania, a jest pewność. W każdym razie koncepcje, z jakimi przychodzi się szczególnie na wieś mazurską, muszą mieć ręce i nogi. Stopień ich przygotowania, rozpracowania i przystosowania do specyficznych właściwości terenu w dużym stopniu niemal z góry przesądza już o wynikach. Tu nie można sobie nigdy pozwolić na śmieszność. W jednej ze wsi zamieszkałych przez lud-

ność rodzimą na listę przymusowej nauki czytania i pisania w ramach ogólnokrajowej walki z analfabetyzmem, wciągnął jakiś supergorliwy sołtys staruszka 87-letniego, z dziecinna już, z zatraconą w poważnym stopniu pamięcią. Fakt ten w wiosce okrył całą sprawę śmiesznością. Nie lada wysiłków trzeba było ze strony miejscowego nauczyciela, żeby sprawę nadrobić. A przecież tu jeszcze nie było nauki, tylko rejestracja. Wypadek drobny, ale przez swą charakterystyczność godny przytoczenia. W innej miejscowości, dopiero mianowany inżynier rolniczy zaraz na pierwszym zebraniu gminnym wykazał się nieznajomością praktyczną rolnictwa. Gdy chłopci usłyszeli plecioną przez niego androny o terminach siewu takich czy innych zbóż, gdy nie miał pojęcia o wydajności, osiągalnej z hektara w lokalnych warunkach — nabrali od razu nieufności do całej instytucji, prowadzącej skądinąd niezmiernie pożyteczną akcję na terenie wiejskim. Wspomniany instruktor nie długo tam zabawił, ale jego następcę, rzeczywistego pierwszorzędnego fachowca, miał wiele trudu, nim wreszcie przekonał chłopów do siebie.

Znajomość człowieka tej ziemi, jego złożonej nieraz bardzo psychiki jest warunkiem podstawowym, od którego zależy skuteczność działania w terenie. Dopóki się tego nie będzie przestrzegano, dopóki działacze wszelkiego typu będą tylko przypadkowymi gośćmi na Mazurach, na pełne wyniki ich starań nie ma co liczyć.

Zjawiskiem, które przykro niezmiernie uderza przy obserwacji lokalnych wielkości na terenie urzędów, instytucji i organizacji w województwie olsztyńskim, jest dość powszechnie spotykany brak odpowiedniej postawy do ludzi, w stosunku do których posiada się taką czy inną władzę. Mało tego, stosunek ten jest w nierzadkich przypadkach wręcz obrażający. Niekoniecznie ma to być obraza w typie wyzywania, aroganckiego traktowania itp. Zdarzają się i takie historie. Niejeden pan wójt czy burmistrz potrafi zachować się nieraz w stylu przyjętym w niektórych stronach kraju przed wojną w systemie sanacyjnym. Te wypadki są jednak coraz rzadsze, bo na ogół osoby tego pokroju nie zagrażały długo miejsca na swych wysokich fotelach. Ale fakty innego rodzaju, jak to na przykład, że zapowiedziany inspektor powiatowy nie zjawi się na zebraniu specjalnie przez siebie zwołane i narazi przez to kilkaset osób na stratę czasu, że autor zapije się ordynarnie i na swój „wieczór” nie pojawi się zupełnie, albo po to tylko, by komuś innemu oddać teksty swoich utworów do przeczytania, sam zaś rozwali się przy stole prezydalnym, w miarę pochrupając podczas pijackiej drzemki; że burmistrz laskawie raczy przyjmować interesantów tylko dwa dni w tygodniu, i w dodatku tylko przez dwie godziny, minutę zaś po określonym czasie, zajęty rozmówką na temat wczorajszej wypitki, nie przyjmie chłopca, który przeszedł do bre 5 czy 6 kilometrów, specjalnie w tym celu, by zobaczyć burmistrza; że... szkoda miejsca na dalsze przykłady, jest ich nazbyt dużo. Więc czy takie fakty nie są obrażaniem ludzi, którzy w burmistrzach, inspektorach, nie mówiąc już o przyjazdach „takich, co to piszą książki”, widzą przedstawicieli państwowej, przedstawicieli

wyższej kultury, reprezentantów rejonów, na jakie ich samych ma się podciągać? Myślę, że chyba tak.

Są nauczyciele, którzy na terenie względnie łatwym, mimo nieraz po ważnych wysiłków, nie potrafili niczego dokonać. A są i tacy, którzy na terenie nieproporcjonalnie trudniejszym dokonali rzeczy olbrzymich. Jeżeli w jednej wiosce trzy czwarte mieszkańców prenumeruje gazety, a w drugiej, położonej o parę kilometrów dalej, zamieszkałej przez podobny mniej więcej element, nie ma ani jednego prenumeratora żadnego pisma, można z góry być pewnym, że w tej drugiej wsi nie ma człowieka mającego odpowiedni stosunek do ludzi, rozumiejącego ich i nawzajem cieszącego się ich szacunkiem i uznaniem.

— Z tymi ludźmi można cudów dokonać! — spotkałem się już kilkakrotnie z podobnie mniej więcej brzmiącym zdaniem. Słowa takie wychodziły z ust proboszcza i nauczyciela, działacza partyjnego i pełnomocnika kulturalno - oświatowego.

— Tylko trzeba wiedzieć jak do nich podejść — takie znów z małymi różnicami było umotywowanie osiąganych sukcesów.

Nie chciałbym przeceniać waleń mieszkańców Mazurów. Mają oni aż za wiele wad wszelkiego rodzaju i kalibru. Spotkacie się tu i z niesamowitym lenistwem, i z brudem rzadko w podobnym rozmiarze widzianym, z uporem niepokonanym, a często bezsensownym, z ciemnotą przeraźliwą. Ale nie natrafi się tutaj na podłość, na brud moralny. Tych rzeczy tu nie ma. Jest zaś w dodatku głęboka, szczerą serdeczność człowieka do człowieka, ufność, którą trzeba tylko wy dobyć, gościnność i uczynność wprost niesłychana. Gdy są w Polsce i takie województwa, w których gospodarsia zażąda pieniędzy za podaną szklankę wody, tutaj dostaniecie wszystko, co kto w chacie ma najlepszego, zaś propozycja zapłaty poczytana będzie niemal za obrażę. Z tymi ludźmi można wszystko dobrać, nie krzykimi i gniewem. Jeżeli jest tak źle jeszcze w tej pięknej ziemi, to dlatego, że ludzie mało tu, bardzo mało, dobroci tej zaznali. Czego można chcieć od Mazur, którego przed czterema laty rabowano jak tylko się dało, potem wyzywano od Niemców, dziś się właściwie dopiero toleruje? Gdzież tu dobro? Czy od niej ciekaw...

Sytuacja ziemi mazurskiej tak się ukształtowała, że stała się ona czymś w rodzaju rezerwatu. Jak do rezerwatu, jakiejś puszczy białowieskiej czy gór kredowych, wyobra się dzisiaj bez mała każdy prawie turysta w te strony. Piękny krajobraz, ciekawy ludzie, dzika przyroda, mało przesadę, gdy powiem, że i dziki człowiek. Takie przebiegi jest nastawienie dużej części ludzi w Polsce do ziem pojezierza mazurskiego. Gospodarczo Mazury znajdują się na marginesie. Do tąd najmniej się tu inwestowało, a jednocześnie prawie najwięcej było tu zniszczeń. Problemy społeczno - polityczne odbijają się wśród tych jezior i lasów także dalekim tylko echem, jakby gdzieś z zamorskiej krainy. Sprawy wyznaniowe pogmatwane, toną w chaosie wieżeń, przesądów i zabobonów. Narodowościowy problem jeszcze nie doczekał się pełnego rozwiązania. Sprawy zdrowotne też są na szarym końcu. Złukwidowanie epidemii to

(Dokończenie na str. 6-tej)

UWAGA

Redakcja „DZIŚ I JUTRO”

pragnie nabyć następujące stare, już wyczerpane numery tygodnika

nr. nr.: 3, 4, 5, 6 — 1945

2 (8), 23 (29), 34 (40) — 1946

Zwracamy się z prośbą do naszych czytelników, posiadających te numery, a nie zbierających kompletów, o odstąpienie ich redakcji.

Ewentualne zgłoszenia proszę składać na ręce sekretarza redakcji, Warszawa, Mokołowska 43, I piętro, telefon 8-80-26.

JEDEN — SZEŚĆDZIESIĘCIU

(bajka plemienia Soninke, górny Niger)

Sirrani Korro Samba pojął za żonę kobietę z Tomma Korro. Pewnego dnia pojechał z żoną do Tomma Korro, aby odwiedzić swoją teściową. Żona jechała na jucznym wole. On sam jechał na koniu. Żonie dał niewolnika, który niósł jej rzeczy. Przybyli do Tomma Korro. Trzy dni pozostawali w Tomma Korro. Przygotowano tu dużo pitnego miodu. Jedli dużo, a Sirrani Korro Samba upijał się codziennie.

Czwartego dnia rano rzekł Sirrani Korro Samba: — dzisiaj ruszymy z powrotem. Ty moja żono jedź z niewolnikiem na jucznym wole przodem, ja zostanę tu jeszcze parę godzin, bo chcę wypić resztę tego dobrego miodu. Koło południa dogonię cię. Wsiadaj na wola i jedź z niewolnikiem naprzód. Żona udała się z niewolnikiem w drogę.

W owym czasie znajdowało się na drodze sześćdziesięciu bohaterów z Segu. Wybrali się omi na wyprawę, ale nie poszczęściło się im i teraz bez łupu i w złych humorach wóczyli się po okolicy. Wśród tych sześćdziesięciu byli najsłynniejsi bohaterowie przeszłości. Był tu np. Massassi Diadierri, był Fulba Małia, Diaora Gundaunda, był Sira Obassi i Boso Mamadu Amadu, a przede wszystkim dialli (bard) Signana Samba. Ten otrzymał swoje imię stąd, że gdy zwyczajem bardów prosił o jakiś podarunek, a obiecano mu dać coś następnego rana, kucnął przed drzwiami i czekał tak długo, aż otrzymał to co mu miano dać. Był on bardzo cierpliwym i wytrwałym.

Tych więc sześćdziesięciu bohaterów z Segu, opanowanych żądzą łupu, jechało drogą i rozglądało się gdzieby jeszcze co zdobyć, aby nie wracać z pustymi rękami do Segu. Jeden z ludzi spojrzął w dal i

rzekł: Hoo! Czy nie zbliża się ku nam mężczyzna na obładowanym wierzchowcu? — Inni spojrzeli też w tamtą stronę i rzekli: — nie, to nie jest mężczyzna na wierzchowcu. Jest to natomiast kobieta, która napewno jest piękna i bogata, bowiem koło niej idzie niewolnik. — Wobec tego pokażemy tej pani drogę do Segu — rzekli jeszcze inni — w ten sposób zwiędzi ona trochę świata. — Niekörtzy dodali: — będzie to jeszcze jakieś żnośne zakończenie naszej nieudanej wyprawy.

Sześćdziesięciu jeźdźców wyskoczyło na żonę Sirrani Korro Samby i obstało ją kołem. Kobieta rzekła: — cóż to za rabusie i obiecyświaty z, was, że uczciwej kobiecie nie usuwacie się z drogi? Nie wstyd wam stać tak z waszymi złodziejskimi zamysłami wokół, w pełnym blasku słońca, w którym widać każdego z osobna? — Jeden z sześćdziesięciu bohaterów rzekł zdumiony: — kobieto, cóż daje ci śmiałość, żeby w ten sposób zwracać się do sześćdziesięciu najznakomitszych bohaterów z Segu? — Żona Sirrani Korro Samby rzekła: — Oh, cóż to znówu za bohaterowie z was, że tak dzielnie odważacie się mówić z kobietą. Poczekajcie tylko trochę, aż mój mąż nadejdzie; ten nauczy was już, jak się ze strachu robi w portki. Wtedy bardzo prędko skończy się wasza odwaga wobec kobiety. — Bard Signana Samba uderzył w swoją gitarę i rzekł: — jeśli odwaga męża tej pani nie nada się do uwiecznienia w Pui (księżdz ballad), trzeba będzie przynajmniej opiewać obrotność jej własnego języka! Kto jest twoim mężem niewiasto?

Żona Sirrani Korro Samby odrzekła: — pytacie się kto jest moim mężem? Czy naprawdę chcecie go poznać? Jeśli tak, szukajcie sobie

szybko mysich dziur w polu i gniazd ptasich na drzewach i schowajcie się przezornie w nich razem z waszymi kronikami. Stamtąd najlepiej możecie zawrzeć znajomość z moim mężem, uważajcie tylko, żeby nie wpaść pod kopyta jego konia. — Massassi Diadierri rzekł: — Kobieto, musisz koniecznie jechać z nami



do Segu, aby król nasz mógł się dowiedzieć tych niebywałych rzeczy. Czy słyszał już kto kiedy śpiew takiego ptaka? — Naprzód do Segu!

Kobieta rzekła: — ruszajcie prędko, jeżeli chcecie zdążyć, bowiem tam z tyłu zbliża się już mój mąż. Widzę, że jest porządnie pijany, a w takich razach zabawa jest niebezpieczna. Postarajcie się zejść mu z drogi, bo byłoby rzeczą pożalowania godną, gdyby sława sześćdziesięciu nieustraszonych bohaterów, którzy w biały dzień nie boją się zaczepiać samotnej kobiety, ponieść miała jakiś uszczerbek. Jazda, uciekajcie; widzę już, że mój mąż jest wyjątkowo pijany. — Jeden wojownik z Segu rzekł: — to musi być bohater osobliwego rodzaju. Objasnij nas: czy jest on bogiem czy hieną? —

Wszyscy ludzie z Segu zaczęli drwić: — to musi być albo bóg, albo hiena. — Kobieta rzekła: — kiedy wleziecie w mysia dziurę, wyda wam się bogiem. Kiedy wskoczycie w ptasie gniazdo, możecie sobie wyobrazić, że jest hieną. Takie rozumowanie bardzo mi na was patrzy.

Sirrani Korro Samba zbliżał się powolnym truchcikiem. Usłyszał żywą wymianę słów i miał się na baczności. Sześćdziesięciu bohaterów Segu cofnęło się i przyglądało się jeźdźcy z daleka. Sirrani Korro Samba wyprostował się z trudem na siodle. Był rzeczwiście bardzo pijany. Potem wziął swoją flintę i strzelił za siebie w powietrze, strzelił w prawo w powietrze, strzelił przed siebie w powietrze. Potem Sirrani Korro Samba wyciągnął swoją fajkę, zaczął ją kurzyć i wolał do ludzi z Segu: — Hooo! Ależ jesteście nudni! Hooo! Jacyż jesteście nudni!

Jeden z bohaterów z Segu wyskoczył naprzód i strzelił do Sirrani Korro Samby. Ale nie trafił go. Sirrani Korro wypalił spokojnie ze swojej flinty w powietrze. Tamten strzelił jeszcze raz i znów chybił i jeszcze trzeci raz bez skutku. Wtedy Sirrani Korro Samba złożył się. Jego strzał powalił tamtego z konia. Naładował, złożył się ponownie i zestrzelił drugiego. Naładował, złożył się znów i zestrzelił jeszcze trzeciego i czwartego. Ludzie z Segu zaczęli uciekać. Wtedy Sirrani Korro Samba puścił swojego konia w bieg, pogonił za nimi i złapał trzech do niewoli. Tak więc wielu ludzi uganiało wokół. Wielu z nich strzelało. Signana Samba, dialli z Segu uderzył w struny gitary i zaśpiewał: „o bohaterowie z Segu, nie zapominajcie tak waszych czcigodnych imion. Bohaterowie z Segu, pomnijcie, że jest was sześćdziesięciu. Zatrul was język kobiecy i teraz dajecie się bić jak chorzy. Pomnijcie, że jesteście bohaterami, o mężowie z Segu!“ Bohater z Kalla

gonił tymczasem w dali uciekających. Wówczas dialli podjechał do kobiety i rzekł: — jeśli te rzeczy mają być opiewane w Pui, tak jak na to zasługują, trzeba pozyskać ku temu barda, bowiem ci uciekający mężowie napewno nie będą o tym opowiadać. Kiedy bard uwieczni te rzeczy w Pui, wtedy będzie on zbyt oddalony od dzielnej niewiasty, którą poznał, aby mógł otrzymać od niej podarek! — Na te słowa żona Sirrani Korro Samby zdjęła z ucha ciężki, złoty pierścień i dała go diallemu.

Sirrani Korro Samba powrócił ze swymi trzema jeńcami i podarował ich żonie. Rzekł on do pojmanych: — uważajcie, żeby moja żona nie spadła ze swego jucznego wola ze strachu, gdy zobaczy przy sobie wasze groźne oblicza. — Potem wszyscy ruszyli dalej w drogę powrotną.

Signana Samba dogonił uciekających towarzyszy w chwili, gdy zebrał się pod drzewem. Zbliżył się do nich, uszczypnął struny swej gitary i rzekł: — „jeden — sześćdziesięciu“. — Bohaterowie spojrzeli na niego, a jeden z nich rzekł: — nie opowiesz chyba królowi o tym co zaszło? Signana Samba wyciągnął złoty pierścień, który otrzymał od żony Sirrani Korro Samby, nadział go na szyję gitary i uderzając nutę potwórzyl: — „jeden — sześćdziesięciu!“

Bohaterowie cofnęli się za pień drzewa. Massassi Diadierri rzekł: — on chce przez to powiedzieć, że ten

człowiek z Kalla był jeden, a nas było sześćdziesięciu. Na pewno opowie o tym królowi i roztrąbi całemu światu. — Fulba Małia dodał: — on daje nam do zrozumienia, że otrzymał od żony bohatera z Kalla złoty pierścień, aby opiewać ją w Pui. Nas jednak jest sześćdziesięciu i jeśli damy mu sześćdziesiąt złotych pierścieni, zamilczy o całej sprawie. Bohaterowie rozważyli te słowa, naradzili się i wyszli z pnia. Massassi Diadierri rzekł do Signana Samby: — każdy z nas da ci w Segu złoty pierścień, jeżeli o całej sprawie nie powiesz słowa królowi ani nikomu w Segu — Signana Samba zapytał: — czy robicie to zaraz, jak tylko wrócimy do domu? — Wszyscy odparli: — tak!

Powrócili do Segu. Król zapytał: — przynosicie mi jaką dobrą wieść? — Dialli rzekł: — tak. Uprzątnęliśmy jeden dom, ale porządny wiecheć wymiół z niego wszystkich, którzy nie byli mieszkańcami. — Król rzekł: — tego nie rozumiem! — Bard odparł: — czy znasz pieśń ze zbioru Pui zatytułowaną: „jeden — sześćdziesięciu“? — Król rzekł: — nie, nie znam takiej. — Dialli rzekł: pieśń ta została dopiero co ułożona przez twoich bohaterów.

Niekörtzy bohaterowie dali bardowi złoto natychmiast. Inni nie uczynili tego. Gdy Signana Samba spotykał kóregoś z opieszalych, brząkał w struny gitary i podśpiewywał: „jeden — sześćdziesięciu!“ — Jeżeli tamten udawał, że nie rozumie, wówczas pytał: — czy znasz niewiastę, która tak niezwykle śpiewa? Czy znasz takiego, przed którym jedni uciekają do mysich dziur, a drudzy chowają się w ptasie gniazda? Czy znasz takiego, który dla jednych jest bogiem, a dla drugich hieną? — Tak więc jeden po drugim wojownicy płacili mu, i jeszcze za tych, którzy padli lub zostali pojmani. Bard Signana Samba zebrał w ten sposób po pewnym czasie sześćdziesiąt złotych pierścieni.

Król słyszał od czasu do czasu takie, czy inne słówko. Rzekł on do diallego Signany Samby: — opowiedz że mi wreszcie. — Bard odparł: — najpierw muszę pomówić z tamtymi. Wszyscy powinni być przy tym. — Wieczorem zebrał się wszyscy razem. Dialli zawiesił na gryfie swej gitary sześćdziesiąt jeden złotych pierścieni. Król zapytał: — cóż tam nowego w Pui? — Signana Samba rzekł: — „jeden — sześćdziesięciu!“ — Wszyscy popatrzyli na niego. Dialli zwrócił się do Massassi Diadierri: — jak dotrzymuje się słowa — w połowie czy w całości? — Massassi Diadierri rzekł: — słowa dotrzymuje się w całości! — Dialli rzekł: — „jeden — sześćdziesięciu!“ — Czyż nie obiecano mi, że tych sześćdziesiąt złotych pierścieni otrzymam natychmiast? Czyż nie ociągano się i nie robiono mi trudności? Czyż nie naradzano się pod pewnym drzewem? — Potem dialli Signana Samba uderzył w struny swojej gitary i zaczął: — śpiewam przed wielkim królem. Czy wielki król potrafi wynagrodzić biednego barda sześćdziesięcioma złotymi pierścieniami?

Na to król kazał przynieść sześćdziesiąt złotych pierścieni i dał je diallemu. Ten zdobył tym sposobem sto dwadzieścia jeden złotych pierścieni i uwiecznił historię Sirrani Korro Samby i sześćdziesięciu bohaterów w Pui.

Przeciw rezerwatowi

(Dokończenie ze str. 5)

tylko konieczność, ale gdzie dalsza, szeroka troska o zdrowie ludności, o jej higienę życia? Może w oświacie na stopniu podstawowym jest jeszcze najlepiej, przynajmniej w proporcji do innych zagadnień; ale szkolnictwo średnie i zagadnienie udostępnienia wyższego (w sensie możliwości technicznych i materialnych) nie budzi entuzjazmu. Straszliwa pustka kulturalna. Akcja upowszechniania kultury jest w istocie nadal jednak fikcją bez treści.

Wszelkie więc warunki doskonałe, jak na to, czego się wymaga od każdego rezerwatu. Smutne to stwierdzenie rzeczywistości!

Przez ciąg dziejów tak się już składało, że Mazury zawsze były traktowane po macoszemu, zapomniane, lekceważone przez Polskę. Czyż nie brzmią tragicznym oskarżeniem słowa przedstawiciela ludności pruskiej, składane przed Majestatem Kazimierza Jagiellończyka przez Jana Baseina? — „...Wśród takich to i jakichkolwiek jeszcze innych warunków, prosimy o opiekę i obronę Waszej Królewskiej Mości. Ze W. Kr. Mości, jako dawnemu Panu dziedzicznemu a teraz jako nowej, i dobrowolnie obranej zwierzchności będziemy poddani bez wszelkiego przymusu, że Jej zdobyte miasta i zamki oddamy, (mowa o twierdzach krzyżackich — przyp. mój) będzie dla Waszej Król. Mości nie tylko użytecznym, lecz także chwalebny i sławny, bo pierwszą korzyścią W. Kr. Mości stąd bę-

dzie powiększenie i pomnożenie Jej krajów i wzmocnienie państwa. Nie przyjaciel Twój. Najjaśniejszy Panie, będzie się Ciebie tym bardziej obawiał...“.

Ba, kwotami pieniężnymi po prostu starano się skłonić Polskę do przejścia opieki nad Prusami. Maru Ludwice obiecywały w r. 1662 stany pruskie 200 tys. złotych za wyswobodzenie od zwierzchniej władzy elektora i jednocześnie uchwałyły „krew i mieme poświęcić ku pozostaniu przy Koronie Polskiej i Rzeczypospolitej, jedynie tylko na cześć Boską a bez obrazy praw elektora“, które to uchwały przewoził do Warszawy Hieronim Roth, jedna z najpiękniejszych postaci tej ziemi, uwięziony później dożywotnio przez elektora. Jan Kazimierz początkowo przychylił się do całej sprawy, ale potem nieładnie się z niej wycofał, zaprzeczając nawet własnym swym pismom i oświadczeniom w tej materii, ograniczając się w końcu tylko do podkreślenia swych praw słowami: „Zachowuje przyrodzone i pisane swe prawa do Księstwa Pruskiego w ten sposób, iż zawsze będzie mu jakoby przytomna myśl: własność ta moja nie jest moją lecz będzie moją“.

A dramatyczna sprawa Kalksteina, porwanego z Warszawy, niemal sprzed oczu królewskich przez elektora, Kalksteina, występującego do króla Michała Wiśniowieckiego w imieniu stanów pruskich z pismem „Supplex nomine ducatus Prussiae

libellus“ poruszającym te same, co i wyżej wspomniane, sprawy.

Niejako koroną cierniową dla ziemi mazurskiej stał się wreszcie tragiczny plebiscyt 1920 roku...

Problem polityczny Mazurów i Warmii przestał istnieć dopiero w wyniku ostatniej wojny. Błagania Baseinów, Rothów, Kalksteinów i innych zostały dziś wysłuchane. Połączenie z Rzeczpospolitą jest faktem nieodwołalnym.

Czas teraz najwyższy, by się dziś Rzeczpospolita za tym swoim przez wieki krzywdzonym dzieckiem w pełni ujęła. By oprócz wyteknionej swobody od krzyżacko - elektorsko - cesarsko - hitlerowskiego pazura skasowała też jak najszybciej na zawsze tragiczne piętno rezerwatu spraw polskich. Dotąd na tym polu zrobiliśmy jeszcze mało. Hierarchia spraw znów kazała z konieczności odsuwać Mazury na szary koniec. Obecnie i to mija. Mazury wyłaniają się coraz wyraźniej jako pozycja czołowa dla pracy naszego pokolenia. Do wielu czynów przez nie wpisanych zaszczytnym tuszem, wejść musi sprawa pełnego uwypatnienia ziemi mazurskiej.

W naszej epoce na rezerwaty inne, prócz przyrodniczych, nie ma miejsca.

Czas więc najwyższy skończyć i z rezerwatem mazursko - warmijskim!

Wrzesień—listopad 1949 r.

Eugeniusz Paukšta.

Jan Dobraczyński

STRZAŁY ZA HORYZONTEM⁵⁾

Wina może być tam, gdzie się wybiera między złym a dobrym... Łatwo jest wybierać między złym a dobrym. Ale rzadko tak właśnie wybieramy. Przeważnie wybiera się między dobrym a dobrym, między dwiema rzeczami, które wydają się nam dobre...

Tak samo mówił wtedy nocny gość, leżąc na tapczanie w czarnym zakątku cienia, odciętego smugą księżycowego blasku. Jego nasiąkłe wodą buty, pozostawione na jasnej płamie, wydawały się żywą istotą. Ich obecność urealniała głos, który przychodził z ciemności. Franciszek upierał się: „Rozumiem, że wybór może być trudny, nawet bardzo trudny. Ale jeżeli pan zgadza się ze mną co do sprawy, które jest najważniejszym sensem życia, to wtedy wszystkie trudności muszą przecież ustąpić. No bo inaczej... „Wydawało mu się, że człowiek w mroku zaśmiał się krótko i gorzko. Poczuli niepokój. To te buty, tworzące jakby bryłę małego wielbłąda, niepokoili swoją obecnością. One także zdawały się na słuchać. Za oknami była przerażająca cisza wiejskiej nocy.

„Więc pan — pytał niewidzialny rozmówca — uzyskał od razu spokój. Wystarczyło panu, że pan doszedł? Nie pozostały w panu żadne dawne wątpliwości? Nie zrodziły się nowe? Czuję pan w sobie zupełną harmonię?“

Poruszył się niespokojnie na krzesle. Pytania spadały na niego zbyt bezwzględnie. Blask księżycy bił o podłogę i odbijając się, raził w oczy. Cztery prostokątne okna wydawały się lustrami, nastawionymi pod promienie słońca. Drgająca fala zacierała cień ramy i tylko na podłodze leżał długi, czarny krzyż.

„No, oczywiście, że nie — wyznał. — Ale to ja...“

„Niech pan tak nie myśli — twardo zaprzeczył tamten leżący na tapczanie. — To nie tylko pan! W każdym z nas jest całość doświadczenia. Przeżycia każdego z nas mogą wystarczyć za cały świat!“

„Lecz w takim razie — Franciszek przeciwstawił się raz jeszcze, — nie potrzebny byłby nam drugi człowiek. Czyżby pan twierdził, że poza nami...?“

Tapczan zachrząknął, człowiek przewrócił się z boku na bok, może wsparł się na łokciu.

„Nie! — powiedział gwałtownie — nie! Świat istnieje! Ludzkość istnieje! Istnieje naród, który walczy! Istnieje gdzieś zebrać, który umiera z głodu! Mieszka gdzieś lord Jim, któremu trzeba pomóc, by się znowu poczuł człowiekiem. Nie jesteśmy otoczeni złudzeniami. Jesteśmy ludźmi. Ale nie łatwo jest odnaleźć drugiego człowieka. Jak go zdobyć? Siłą? Na gwałt odpowie gwałtem. Życie podstępem? Uczuciem? Uległością? Każda droga dobra, a każde może się zakończyć klęską. Oto konflikt!“

Znowu tapczan zachrząknął, człowiek wyciągnął się. Za oknem była nadal głucha cisza. Blask księżycy przesunął się lekko i buty znalazły się na samym skraju płomy blasku. Za to krzyż leżał tuż pod nogami Franciszka, ten krzyż, który, wydawało mu się dotychczas, tylko w nim nie miał prostoty i dostępności.

„Więc niewyczerpane morze wątpliwości...“ — na poły stwierdził, a na poły zapytał.

„O tak! — usłyszał odpowiedź. — Niewyczerpane morze. I wątpliwości, niech pan pamięta, nie są tylko na samym początku. Są i w środku, a będą także — dla tego kto tam dojdzie — na końcu... Kto wie, czy wtedy nie będą nawet największe! Ileż jest w tym złudzeń: wybrać, znaleźć, uwierzyć, skoczyć, zrobić gest! Gest? Cóż to jest gest? Chwila, a za nią miliony dalszych... Tak, proszę pana. Siebie wybieramy raz jeden. Ale Boga wybieramy

tysiąc tysięcy razy na dzień! Człowieka drugiego znajdujemy tysiąc tysięcy razy na dzień!“

„A jeśli wybierzemy źle?“ — zbuntował się ostatni raz tej nocy.

Posłyszał głuchy dźwięk, jakby uderzenie dłonią w książkę.

„Jak Szawel? — zapytał człowiek. — Błogosławiona omyłka, która sprowadza piorun. Na naszej drodze pioruny są miarą największej przygody.“

Garbaty zwierz utonął w ciemnościach. Przeszał niepokoić. Krzyż przewalił się na jedno z ramion. Czas biegł.

„Lecz ja mówię — odezwał się tamten, — a pan nie śpi. Będzie pan jutro zmęczony.“

„Oh, nie, nie! To ja raczej pana eksploatauję. I to po tylu godzinach stania w lesie.“

„Mnie to nie szkodzi. Sam zacząłem.“

„Lecz teraz trudno się oderwać...“

„Więc nie odrywajmy się...“

Lecz powiedziawszy to, zamilkł.

Franciszek siedział także bez słowa.

W mroku tykał zegarek. Gdzieś na podwórzu zapiał kogut. Chwila wielkich słów zdawało się, minęła, pozostawiając po sobie poczucie czegoś niedopełnionego. To było to samo poczucie, z jakim Franciszek tak często wracał z kościoła: dławiące poczucie niedotarcia do dna. Znowu zapiał kogut. Czyżbym się czegoś zaparł? — pomyślał Franciszek.

Bolesnie przełknął ślinę. Blask księżycy spływał coraz bardziej w bok, coraz mniej raził oczy. Za to kąt, w którym stał tapczan, rozjaśniał się. Mógł już zobaczyć wyciągnięte na kocu ręce leżącego i ciemny owal jego głowy na poduszce.

„Ma pan więcej doświadczenia niż ja“ — przyznał pokornie.

„To nie jest żadna zasługa — odpowiedział poważnie leżący, — po prostu zdobyłem je prędzej. Może wcześniej zacząłem. Pan zdobędzie je także.“

„Być może — zgodził się. — Lecz życie nie jest zbieraniem przez każdego pełnej miary doświadczenia. Skoro świat nie jest tylko mną... Muszę panu powiedzieć: nigdy w życiu nie miałem przyjaciela. Zawsze szukałem czegoś innego niż inni. Zawsze... — urwał.

Pochylił głowę. Czuł jak mu krew dobiega do policzków, bije coraz mocniej, coraz goręcej, w miarę jak przedłuża się milczenie.

„Ja także nie miałem nigdy przyjaciela — odezwał się wreszcie tamten wolno, jakby odmierzał słowa. — Złociło mnie to, stwarzało we mnie jakiś kompleks niższości. Wobec ludzi, których chciałem mieć przyjaciółmi, siedziałem milczący i zrozpaczony, że nie im nie umiem powiedzieć. Brakło mi przyjaźni jak powietrza... Gotów byłbym dać wszystko, by wszystko otrzymać. Potem...“

„Znalazł pan?“

„Nie. Lecz zrozumiałem...“

„Co pan rozumiał? Proszę mi wybaczyć, że się o to pytam. I jeżeli pan nie zechce mi na to odpowiedzieć, to proszę...“

„Owszem, odpowiem. Przyjaźń — to może być także bardzo mało. Uczucie? Porozumienie? Dziś są, a jutro ich nie ma. Najpiękniejsza idea wiąże tylko do nocy. A jeżeli noc się przedłuży? Czy uda nam się uniknąć wszystkich zasadzek serca? Drugiego człowieka nie zdobywa się ani targiem, ani obietnicami... Nie zdobywa się go słowami, proszę księcia...“

Po raz pierwszy tak powiedział. Franciszek drgnął, usłyszał słowo. Zabrzmiało ono w ciemnościach niby zgrzyt rączki karabinu. Poczuli bolesne ukłucie w piersiach.

„Więc dlatego, że jestem księciem?“

Człowiek nie odpowiedział. Zegarek tykał jakby głośniejszym i szybciej, blask księżycy przechodził w barwę seledynową.

„Nie odpowiada mi pan — podjął. — Czemu?“

„Zastanawiam się — usłyszał. — W gruncie rzeczy nie jest mi łatwo panu odpowiedzieć. Prawda, że między nami coś leży. Ale czy to jest to, że pan urodził się na wektorze historii, a ja jestem człowiekiem znikąd? Czy to, że panu tak mało trzeba, aby być kimś, ja zaś muszę siłą wdziierać się w życie niby do przepchanego tramwaju? Czy może wreszcie, że dla mnie pańska przyjaźń, książę, była by czymś zbyt łatwo znalezionym, niby jabłko na ścieżce? Cóż sobie daliśmy? Co przez zwyciężyliśmy, by przyjść do siebie? Świat zna tylko jedną przyjaźń prawdziwą, przyjaźń krzyżą. Gdybyśmy poprzez ofiarę największą — znaleźli drogę do swoich serc...“

„Znajdziemy ją!“ — zawołał.

Trzciny szumiały jak wówczas suche łodygi wina, szarpane przez wiatr, który zerwał się nad ranem. Księżycowa poświata zmieszana z blaskiem nadchodzącego dnia, nabrała koloru électrique. Ta płatanina dnia i nocy leżała ciężko na piersiach. Przed domem czekał pełnym godności głosem Bob, gruby, szerokopierśny jamnik Róży.

Jego ujadanie dochodziło teraz spoza drzew. To był głos z „tego“ kręgu zjawisk. Poza nim jednak był krąg tamten. Do niego należała strzelanina za horyzontem i brudnożółta chmura, rozwiewająca się nad czubami drzew. Właśnie niewielki płat oderwał się od niej i płynął po niebie, ni to obłok, ni kłak dymu, rzucając cień na falujące trzciny. Krąg drugi stykał się z kręgiem pierwszym, narzucił mu swoją rzeczywistość. Do którego z nich należą bardziej? — myślał Franciszek. Powstał z jazu. Roztrzaskując nogami sprężyste trzciny, skierował się ku ścieżce, biegnącej wzdłuż linii krzywych wierzb.

Bob odbijał się jak piłka od twardej ścieżki i, skacząc, opierał swe grube łapy o nogę Franciszka. Musiał go pogłodzić po mądrej główce, z której zwisały miękkie, długie uszy. Wtedy dopiero, pies zdecydował się zaatakować wróble, które obsiadły gałęzie śliwki. Schylił głowę, dotykając niemal trufłowatym nosem ziemi i głośno tupiąc, pobiegł przez grządki. Rozszczękał się dopiero, gdy wróble poderwały się mu sprzed samego pyska.

Róża siedziała na zielonej ławce pod drzewem, szydełkując.

— Dowiedziałeś się czegoś nowego, Franc? —

Był zaskoczony jej pytaniem. Od dawna przyzwyczaił się już do tego, że Róża wolała nie wiedzieć, co się dzieje.

— Owszem — powiedział, siadając koło niej, — Warszawa walczy dalej... —

Biedni ludzie! — westchnęła. Złożyła robotę, jakby miała zamiar odejść. Ale jej duże, błękitne oczy były utkwione w jego twarzy. I co jeszcze? Nie powiedziałaś wszystkiego.

— Tak — przyznał, — nie powiedziałem. Wyczułaś czy...? —

— Wyczułam i słyszałam rozmowę chłopców. Więc chcecie iść do Warszawy? —

— Taki jest rozkaz.

— Rozkaz... — powtórzyła. Wydeła lekko usta: — Po co się zastraszasz rozkazem? — Czekaj co dalej powie. Kiedyś, gdy przyszło mu wyruszyć na jakąś akcję, powiedziała gorzko: „Gdybyś był jednym z nich, mógłbyś się zastanawiać czy pójdziesz. Ale ja wiem, że ty się nawet nie zastanawiasz...“.

Czekając, bawił się bez słowa trzymaną w ręku witeką. Bob uganiał się po zagonach i skakał przez głowy kapusty w pogoni za wróblami, które zawsze w czas odlatywały. — Czy chcesz — zapytała — zabrać chłopców? —

— Tomka nie wezmę.

— A Krzysia? — Czy sądzisz, że zgodziłby się zostać? —

— Tak — przyznała, — on już także nie zastanawia się... —

Łoskot walki tam, za rzeką przybrał na sile. Horyzont łopotał, jakby był wielkim, rozpiętym płótnem, którym szarpie wiatr. Odruchowo podnieśli głowy na wynurzający się znad drzew brzeg złotożółtej chmury.

— Nikt stamtąd nie wyjdzie z życia — wyszeptano.

— A jeżeli tak trzeba? — rzekł.

Porywczym ruchem położyła mu dłoń na dłoń.

— Gdybym mogła uwierzyć, że to już trzeba! — powiedziała prędko. — Gdybym w to uwierzyła... Franc — szepnęła z nagłym wylaniem, — nie myśl, że i ja nie chciała bym dać wszystkiego... Ale chodzi mi o to, czy trzeba. Czy właśnie tak i teraz. Bo widzisz — czuł jak palce kobiety zaciskają się mocno na jego rękę, — gdy ofiarowuje się wszystko i ofiara jest przyjęta... Ale dać wszystko i zostać... — Głos jej załamał się w szloch. Stłumiła go zaraz. Milcząc, siedziała z opuszczoną głową.

Bez słowa rozłożył ręce. Podobnie pytał tamtego w błękitnym blasku księżycy zgaszonego przez dzień. „Lecz pan rozumie, mówił, co to jest za tragedia wybrać źle? Wybrać złą drogę służenia...“

Strzelanina za horyzontem ścisła, to znaczy wróciła do dawnego tonu. Może to było zresztą złudzenie, może po prostu ucho przyzwyczaiło się do nowego napięcia dźwięku.

— Ty, Franc — zaczęła, — zrobiłeś się taki pobożny. Chodzisz codziennie do kościoła, przystępujesz... —

Powstrzymała ją ruchem ręki.

— Daj spokój, Różo. Nie mów tak... Są ludzie, którzy przychodzą do Boga w poczuciu, że nic jeszcze nie zaczęli robić. Tak jakby mówili: naucz nas wszystkiego, od samego początku... —

Jakby z lekką ironią zapytała:

— I Bóg ci nic nie mówi?

— O tym jak mam tutaj postąpić? Nie. I nie wątpię, że mi nie powie. Pamiętaj — uśmiechnął się, — św. Franciszek otwierał Pismo św. i w znalezionym wersecie odczytywał odpowiedź. Ale do tego trzeba być św. Franciszkiem. Dla innych była by to zbyt uproszczona sytuacja.

— Lecz czy rozkaz, Franc, jaki otrzymałeś wydaje ci się słuszny? —

— Nie wiem — wyznał.

— A jeśli on jest głupi, zły, zbrodni- czy? —

Wyrwało mu się z ust ciche westchnienie. Teraz ona! W tym jednym byli razem. Jedyna wspólnota — myślał, — jaka istnieje w tej chwili między nimi, to uczestnictwo w niekończących się wątpliwościach.

— Naszym prawem — powiedział głucho, — jest także prawo wybrania złej drogi... —

— By na niej zginąć! —

W słowach Róży zabrzmiały gorycz i źle stłumiona rozpacz. Franciszek zagryzł wargi. Zdawało mu się, że mu braknie oddechu, że tylko krzyk może go wyzwolić. Krzyk, rzucanie przedmiotami, bicie głową o ścianę — wszystkie te komediowe rekwizyty domowych dramatów. Rozpaczliwie przypomniał sobie o modlitwie. W duchu wyskandował: Zdrowaś Maryjo — każde słowo oddzielnie, jakby rzucał grudami ziemi w otwarty grób. Potem drugi raz... —

— A jeżeli i tego potrzeba? — szepnęła.

Poruszała się niecierpliwie na ławce. Może to teraz ona miała ochotę krzyczeć? Syknęła:

— Chciałabym cię nie kochać!

(dalszy ciąg w następnym numerze).

T Y D Z I E Ń

Radio

PIĘĆ LAT*

22 listopada 1944 roku Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wydał dekret:

„Na podstawie ustawy Krajowej Rady Narodowej z dnia 15 sierpnia 1944 roku o tymczasowym trybie wydawania dekretów z mocą ustawy (Dz. U. R. P. Nr 1 poz. 3) — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego postanawia, a Prezydium Krajowej Rady Narodowej zatwierdza co następuje: Art. 1: Tworzy się przedsiębiorstwo państwowe pod nazwą „Polskie Radio”.....”

Od tej chwili minęło pięć lat. 1 stycznia 1950 r. rozpoczął pracę Centralny Urząd Radiofonizacji. Sieć radiowa rozwinęła się, powstała radiofonia przez wodowa.

Co ukrywa się za tymi faktami?

W 1949 r. minęło 25 lat od chwili powstania Polskiego Radia. 10.X.1924 ukazało się pierwsze rozporządzenie Ministra Przemysłu i Handlu określające warunki zakładania, utrzymywania i eksploatacji urządzeń radiotechnicznych. Od chwili ukazania się tego rozporządzenia mieszkańcy Polski mieli prawo korzystania z urządzeń odbiorczych. Odbiorczych — bo na terenie kraju nie działała wówczas ani jedna stacja nadawcza, a nieliczni abonenci korzystali jedynie z audycji nadawanych przez radiostacje zagraniczne. Nie dziwnego, że 1.I.1925 zarejestrowanych abonentów było170 (stu siedemdziesięciu). Dopiero 1.II.1925 zaczęła działać pierwsza w kraju (próbna) radiostacja na terenie fabryki Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego w Warszawie.

Przed wybuchem wojny Polskie Radio posiadało 10 czynnych radiostacji o łącznej mocy 450 kw. (oraz 4 rezerwowe). W Raszynie była na ukończeniu budowa wielkiej 600 kw. radiostacji (na miejscu czynnej 120 kw.). W dniu 31.VIII.39 r. było 1.100.000 abonentów (676.000 posiadało odbiorniki lampowe, reszta — 424.000 — detektory).

Wszystko to zostało skonfiskowane, zrujnowane i wywiezione. Ze stacji nadawczych ocalała jedynie krakowska i to pozbawiona lamp radiowych. Straty poniesione w ostatniej wojnie sięgają 100%. Nie licząc strat poniesionych przez abonentów, straty w radiostacjach, rozgłośniach i urządzeniach technicznych (przyjmując za miernik z sierpnia 1939 roku) wynoszą przeszło 15.000.000 zł. W 98% zniszczony został przemysł radiotechniczny.

Po wyzwoleniu Polskie Radio rozpoczęło pracę nie rozporządzając żadnymi środkami. Brak było również fachowców, spośród których wielu zginęło, wielu rozproszonych było po całym świecie.

W ciągu pięciu lat inżynierowie i radiotechnicy zrekonstruowali względnie wybudowali czterdzieści radiostacji o łącznej mocy 418 kw., w tym radiostację nadawczą centralną o mocy 200 kw., wyposażoną w najwyższy na świecie maszt antenowy o wysokości 335 m.

Przystąpiono do budowy Centrum Krótkofalowego, które składać się będzie z 2 radiostacji 100 kw., 2 nadajników 50 kw., i 3 — 10 kw. Jego budowa ma trwać do 1955 r. Przygotowywane są również plany budowy w Warszawie 10 kw. radiostacji pracującej na fali około 3 m. Jej odbiór będzie pozbawiony wszelkich zakłóceń występujących na falach średnich (a także krótkich), wysyłanych przez zwykłe radiostacje. W dalszych planach leży wybudowanie 100 kw. radiostacji przeznaczonej dla obsługi wschodnich województw Polski, 50 kw. stacji nadawczej w Gdańsku, rozgłośni w Poznaniu i Lublinie oraz wielkiej hali koncertowej w Krakowie. W latach 1950-51 rozpoczęte zostaną prace wstępne związane z budową w Warszawie Domu Radia przeznaczonego na studia radiowe, centralne laboratorium, centrum szkolenia i biura o łącznej kwadraturze 270.000 m².

W dniu 1.XI.1949 sieć radiofonii przewodowej obejmowała 20.350 km. linii. W dn. 1.X.49 zarejestrowane było ponad 1.100.000 urządzeń odbiorczych (w tym 711.000 odbiorników lampowych, 387.000 głośników mieszkaniowych i 11.000 aparatów detektorowych).

Budżet na 1949 r. wynosił siedem miliardów zł. Z czego przeszło miliard na koszty przygotowania i wykonania programu, a ca 600 milionów zł na utrzymanie radiostacji.

*) Opracowane na podstawie biuletynu Biura Wydawnictw i Propagandy P. R.

W ciągu 1948 r. prowadzone były prace nad przygotowaniem ustawy regulującej wszelkie zagadnienia natury organizacyjnej z dziedziny radiofonii i telewizji w Polsce. W lutym 1949 r. sejm przyjął ustawę, mocą której utworzony został Centralny Urząd Radiofonii, podległy Prezesowi Rady Ministrów. Podlegają mu dwa przedsiębiorstwa P. P. Polskie Radio oraz P. P. Radiofonizacji Kraju. Polskie Radio zajmuje się wyłącznie przygotowaniem i wykonaniem programu (sprawuje również nadzór nad rozgłośniami i radiostacjami). Drugie przedsiębiorstwo opiekuje się placówkami radiofonii przez wodowej.

W obecnej chwili nadawane są dwa zasadnicze programy — łącznie 28 godzin. Zasadniczą cechą radia jest niepowtarzalność programu. Wyobraźmy sobie ogrom pracy programowej jeżeli np. dla wygłoszenia pięciominutowej pogadanki potrzebne są dwie strony maszynopisu. Z nadawanych audycji słownych Polskiego Radia codziennie mogłaby powstać spora książka.

Leszcz

KSIEGARSTWO I KOLPORTAŻ

Z dniem 1 stycznia bież. roku — nastąpiło wydzielenie się księgarstwa państwowego i spółdzielczego z ram szych macierzystych instytucji i utworzenie jednej państwowej Centrali Księgarskiej, o ogromnym zasiegu działalności i potężnym majątku, tak w magazynach, jak w sklepach. Całe księgarstwo uspołecznione weszło do nowej Centrali. Poza nią pozostało jedynie księgarstwo prywatne. Reformy księgarstwa będzie miała swój wpływ na tok prac wydawnictw, od których Centrala Księgarska będzie od razu zakupywać całość wydanej edycji, niejako „na pniu”, a troską o „rozeście” się nakładu zostanie przesunięte z wydawnictw na księgarstwo. Zasada podobna jak w innej produkcji państwowej.

Jednocześnie zmieniła się struktura rynku kolportażowego. Przed wojną kolportaż prowadzony był przez niemal monopolistyczną instytucję „Ruch”. Po wojnie funkcje te spełniał „Czytelnik”; ostatnio miała swą sieć kolportażową

i „Prasa”. Obecnie oba te kolportażowe zostały wydzielone ze Spółdzielni i stworzyły trzon Państwowego Przedsiębiorstwa Kolportażowego „Ruch”, które kierować będzie cała rozsprzedająca wszystkich pism i wydawnictw na terenie kraju. Projektowane jest również przejście przez tę instytucję organizacji prenumeraty wszystkich wydawnictw. To znaczy, że nie administracja czasopisma kierowałaby prenumeratą, lecz „Ruch” który od wydawnictwa przejmował by cały nakład każdego wydanego numeru i rozprowadzał sam; część w kolportażu ulicznym, część w prenumeracie. Sprawy kolportażu ulicznego są oczywiście zupełnie proste, w rzeczywistości nigdy nie mie-

liśmy konkurujących ze sobą wielkich firm kolportażowych; ujęcie tego kolportażu przez państwo — zagwarantuje sprawiedliwe i równomierne z jednej strony traktowanie poszczególnych wydawnictw, z drugiej — nasycaenie pismami nawet tej najdalszej prowincji, gdzie częstokroć inicjatywa nawet spółdzielcza nie była w stanie złożyć punktu kolportażowego, gdyż w pierwszej fazie musiał on być deficytowy. Jednak sprawy przejścia prenumeraty mogą budzić pewne obawy natury sprawności biurokratycznej. Oczywiście odbywać się to będzie etapami: najpierw złączy się zapewne prenumerata pism „Prasy” i „Czytelnika”, ale wiemy jak

Czytajcie

„Słowo Powszechne“

Przegląd czasopism francuskich

PRASA KATOLICKA Niemcy Zachodnie

„Temoignage Chretien” z dnia 14.11.49 w artykule pt. „Nowa Rzecz” atakuje politykę Anglosasów w Zachodnich Niemczech, podkreślając, że w roku 1945 naród niemiecki stanął na gruncie nadzwyczaj podatny do przejścia się duchem demokracji i zupełnego wyzwolenia się od faszyzmu. Anglosasi: nie pojęli i nie wykorzystali tych możliwości w chwili przełomowej. Był to pierwszy zasadniczy błąd. Drugim błędem była d nazyfikacja.

„Był to błąd pisze „Temoignage Chretien” rozmyślnie być może popełniony przez politykę Ameryki, która dostrzegając w nazistach przyszłe narzędzie w walce z Związkiem Radzieckim. Tzw. masowa denazyfikacja w rezultacie uniemożliwiła Schaehta i von Papena oraz wyższych przywódców „SS” i partii, którzy nie tylko są wolni, ale zajmują wysokie stanowiska i pobierają wysokie pensje. Być ofiarą faszyzmu, — czytamy dalej, nie jest już chlubą, a szczytem się tym pociągają z sobą trudności w otrzymaniu pracy. Byli redaktorzy prasy Trzeciej Rzeszy powrócili na swe dawne stanowiska, dowodem tego jest ton wychodzących gazet.”

Artykuł podkreśla wysocę demagogiczny klimat wypowiedzi prasowych, towarzyszących kampanii wyborczej. W ten sposób odwracało się uwagę narodu niemieckiego od konkretnych problemów wewnętrznych jak naprzykład problem bezrobocia. W Niemczech jest obecnie 1.257.000 bezrobotnych. (Cyfrę tę podają za T. C.).

Dwa typy człowieka

Skrajnie prawicowa (organ Akcji Katolickiej) „France Catholique” z dnia 11 listopada, nawiązując do artykułów Pierre Emanuela w „Monde”, przedstawia „Zelaznemu człowiekowi wschodu”, zmecchanizowaną jednostkę Ameryki.

„Głównym motorem życia tych zmaszalizowanych dusz pisze Jean de Fabregue we „France Catholique” jest ustawiczny lęk przed komunizmem. Lęk ten wskazuje na słabość ideologiczną Ameryki w obliczu przyszłości. Ameryka boi się własnej pustki i bez oparcia o swoją potęgę przemysłową jest beznadziejna.”

W ciągu czterech lat osiemnaście milionów Amerykanów poddało się psychoanalitycznym badaniom. Oto znamienny objaw. Większość tych ludzi tak mężczyzn jak i kobiet, nie wie co o sobie sądzić, nie wie po co żyje.”

O nadużyciu słowa „katolicki”

Emanuel Mounier w ostatnim numerze „Esprit” ostro krytykuje Jean de Fabregues za fałszywe nadawanie publikowanym artykułom „etykiety apolityczności. Mounier przypomina jak Jean de Fabregues postępował już kiedyś w ten sam sposób, wydając podczas okupacji „katolickie” pismo „Demain”, w którym o swoich lojalnych

artykułach pisał również, że „to nie polityka”.

Wprowadzie „Demain” nigdy nie występowało otwarcie za kolaboracją, lecz aż do końca w imię religii katolickiej, nieznanie i jadowicie mieszało pojęcie religii z kolaboracją...”

„„Demain” propagowało posłuszeństwo w stosunku do polityki Vichy czyli krok za krokiem szło za hasłami Hitlera.”

Grupa współpracowników „Demain” — pisze dalej Emanuel Mounier — przeszła prawie całkowicie do „France Catholique”, pomimo, że żaden z nich dotąd nie wyjaśnił swojej postawy. Czy są nadal wierni tamtym przekonaniom? Czy je odrzucili? Zdaje się, że to wytłumaczenie należy się tym którym podobnie jak w czasie okupacji nadal zwalczają (np. personalistów) oraz tym którzy karmieni ich teoriami dotrwali aż do końca w wierności Petainowi, uważając ją za święty obowiązek, i którzy dzięki temu rozmyślają dziś w więzieniu lub w grobie.”

„W przekonaniu, że nie ma określonej postawy politycznej wyznaczonej nam bezpośrednio przez naszą wiarę, uznajemy całkowicie istnienie katolików konserwatywnych i ich prawo do własnych przekonań i gazet. Do magamy się jednak by nie propagowali swej polityki pod etykietą religii i nie starali się narzucić tej polityki wspólnemu Kościołowi wiernych.”

ZYCIE KULTURALNE

Kubizm w nowej fazie

Znany krytyk malarstwa nowoczesnego Daniel Kahnweiler ogłasza w miesięczniku ostatnią wystawę obrazów Picassa biorąc przede wszystkim pod uwagę ostatni styl tego malarza z lat 1947-49, który uważa za końcową formę kubizmu.

„Sądząc z recenzji w prasie i z wrażeń pierwszych zwiedzających, zamierzenia ostatniej dzieł Picassa nie zostały w większości, wypadków należyście uchwycone. Dzieła te malowane od listopada 1947 roku i zajmujące większą część wystawy stanowią moim zdaniem jej część najważniejszą. Nie są one bynajmniej, jak sądzą niektórzy, kompozycjami dekoratywnymi, lecz początkują końcową fazę kubizmu. Jak wiadomo dążenia tego prądu idą w kierunku przedstawienia świata zewnętrznego w sposób możliwie najdokładniejszy, na powierzchni płaskiej, bez efektów perspektywy i zachowując całość tej płaszczyzny.

Kubizm analityczny podawał liczne szczegóły przedmiotu pokazując go z różnych kątów widzenia na tym samym obrazie. Kubizm syntetyczny — następną fazą — skondensował w jednym „znaku” to wszystko co malarz z danego przedmiotu chciał przedstawić. Wiadomo, że każde malarstwo tworzy swoje „znaki”. Lecz to co było nowością w „znakach” wymyślonych przez kubistów, a zwłaszcza przez Picassa, polegało na pozbawieniu ich imitacji rzeczywistości. „Znaki” te nie naśladowały przedmiotów świata zewnętrznego, tzn. były coraz mniej zbliżone do obrazu, jakie w przeszłości

malarstwo zachodnie dało tym przedmiotom. Kubizm starał się stworzyć nowe „pismo” malarskie „całkowicie ujęte na powierzchni płaskiej”.

Omawiając w dalszym toku wysiłki i osiągnięcia kubistów w eliminowaniu efektów perspektywy, Kahnweiler przytacza swoją ostatnią rozmowę z Picassem: „Rozumie pan — mówi Picasso — kiedyś w kubizmie nie osiągnęło to tego całkowicie (wyeliminowania efektów perspektywy), a nawet oddalano się coraz bardziej od celu. Podczas gdy tu nie chciałbym, by wzrok widza pograżał się w obrazie. Nie ma tu fałszywych efektów optycznych. Nie ma też linii pdcieczających się, gdyż natychmiast wywołaloby wrażenie perspektywy.” Późem dodał: „Dlatego każda z moich linii kończy się na dużym punkcie by trafiając w opór zatrzymywała się”. Istotnie charakterystyką tego stylu Picassa są duże, czarne punkty na każdej zalamaniu się linii.

Teatr Gabriela Marcela

Można wątpić o istnieniu jakiejś jedności filozofii egzystencjalistycznej, tym niemniej znajdujemy pewną rodzinną atmosferę, wspólną wszystkim odłamom i rozgągnięciom tego światopoglądu. Dlatego też nie dziwi nas uwaga z jakiego miesiącznika „Les temps modernes” śledzi twórczość literacką i filozoficzną czołowego katolickiego pisarza egzystencjalisty Gabriela Marcela.

W numerze październikowym, z okazji wystawienia nowej sztuki Marcela, „Un homme de Dieu” w Theatre de L'Oeuvre. Jean Roy daje nam obraz krytyczny całej twórczości teatralnej tego autora.

Trzeba przyznać, że o ile komentarze i polemiki wokół teatru są liczne, to nie dotyczą one spektaklu lecz operują na wrażeniach z lektury. Z całego dorobku teatralnego Marcela ciągnęto się od tamtej wojny aż do dziś, tylko kilka sztuk zostało wystawionych i to z wątpliwym sukcesem. Czy jest to wina publiczności? Jeśli chodzi o „Journal Metaphysique” jego lektura też nie jest łatwa, lecz znajdujemy tam życie wewnętrzne opisane z dokładnością wzbudzącą podziw. W teatrze jednak chodzi o co innego, chodzi o przedstawienie duszy innych podczas gdy Marcel „nawiazuje każdą sztukę do własne-

go życia tak jak swoją metafizykę do swojego Journal”. Trzeba ocenić teatr ten, w jego całości i podchodzić do niego od strony filozoficznej, a nie od strony dramatycznej.

„Głębokość dialogu w teatrze Marcela polega przede wszystkim na prawdzie, którą każdy mówi o sobie, lecz właśnie dzięki temu dialog ten jest sztuczny, gdyż szczerść i treźwość posunięta do tego stopnia jest nie do pomysłenia. W życiu nie ma scen tak konsekwentnych, bo nie ma czasu by tyle myśleć. Marcel daje nam ciągle sceny zbyt doskonałe”.

W teatrze klasycznym wątek dramatyczny tkwi w walce między dwoma istotami, które przeciwstawiają się, określają się nawzajem.

„Lecz dialog Marcela — pisze Jean Roy który ma być rewelacyjnym z punktu widzenia poszczególnych osoby, traci swoją dynamikę z chwilą, gdy dwie postacie są razem.

Powieściopisarz może utożsamić się tak z jedną jak i z dwoma postaciami. To on przedstawia nam swoich bohaterów zrodzonych wyłącznie w jego umyśle, i nie ma pośredników między nimi, a nimi.

Lecz teatr stawia nas przed kontrastami rzeczywistymi. Te postacie nie istnieją nie tylko w wyobraźni naszej i autora. Aktorzy to ludzie z krwi i kości. Godzimy się ze świadomością ich nieuchybnej zguby, uznajemy wielkość ich przeznaczenia, lecz muszą konsekwentnie walczyć do końca. Marcel przedstawia nam katów świadomych własnej niegodziwości i ofiary wstydzące się pychy pokonanych, przez co rysy ich charakteru rozpluwają się, ginie wątek dramatyczny i ginie samo życie. Umysły znajdujące się do tego stopnia, całkowicie świadome siebie, są zupełnie bezpłodne, martwe i osądzone już na wstępie. W teatrze każda postać określa się w zetknięciu się z drugimi, a nie zamykając się w sobie”.

Technika Marcela więc jest techniką dobrego powieściopisarza, ale złego dramaturga. Nie dziwi nas też upodobanie z jakim powieściopisarz Mauriac wchodzi w zaniknięty świat Marcela, świat w którym istoty są trawione wyrzutami sumienia w kręgu własnych rodzin, które nie są w stanie ich zrozumieć. A. G.

SW. AUGUSTYN

WYZNANIA

z łacińskiego przetłumaczył, wstępem i komentarzem zaopatrzył

Ks. Dr Jan Czuj

Prof. Uniwersytetu Warszawskiego

8. k str. 428 cena zł. 1.200.—

do nabycia

w Księgarni Krakowskiej — Kraków, ul. Św. Krzyża 13

i w innych księgarniach.

KULTURALNY

wiele nieporządków było przy prenumerowaniu pism czytelnikowskich m. in. dlatego, że nasze sily biurowe nie przyzwyczajone do tak wielkich zadań nie potrafiły sprostać obsłudze kilkudziesięciu periodyków i dzienników. Czy ci sami ludzie sprostać obsłudze kilkuset pism? Przyszłość okaże.

MUZEUM NARODOWE

Muzeum Narodowe, które swe podwoje otworzyło po wojnie już 1 maja 1945 roku wystawą „Warszawa oskarża”, dzięki systemowi bezpłatnego zwiedzania osiągnęło w swej pracy sukcesy godne pochwały. W ciągu tych czterech i pół lat pracy urządziło Muzeum 61 wystaw okresowych i 4 stałe: retrospektywną malarstwa polskiego, malarstwa rosyjskiego, sztuki zdobniczej i sztuki starożytnej. W r. 1945 — odwiedziło Muzeum 252.237 osób (dokładność liczby zawdzięczamy rejestrującej specjalnej komórce fotoelektrycznej, w 1946 — 441.707, w 1947 — 491.222, 1948 — 433.420, 1949 — 894.446. Przy czym największą frekwencją w ciągu tych lat cieszyły się wystawy: Warszawa oskarża (1945), Salon Wiosenny Malarstwa Współczesnego (1946), Salon Wiosenny Malarstwa Współczesnego (1947), Galeria Malarstwa Obcego, „50 lat filmu francuskiego” (1947), Dorożna Wystawa Warszawskich Plastyków, Zbiory Sztuki Gotyckiej, Współczesne Malarstwo Francuskie i Ceramika Picassa (1948), Wystawy Mickiewicza, Puszkina i Chopina, oraz Wystawa Darów dla Generalissimusa Stalina (1949). Ta ostatnia wystawa ustanowiła rekord frekwencji; w ciągu trzech dni — 13, 14, 15 grudnia ub. r. odwiedziło ją 86.279 osób, to jest przeciętna frekwencja jednego miesiąca. W ogóle w grudniu 1949 odwiedziło Muzeum 155.209 osób. Rekordowym dniem wycieczek — których ilość wzrosła od otwarcia Trasy W—Z, gdyż wycieczki przybywające na Trasę zwiedzają i Muzeum — była niedziela 25 września 1949; przyszło ich wtedy 83, podczas gdy najwyższa dzienna frekwencja w latach ubiegłych wynosiła 30 wycieczek.

Przy okazji należy zaznaczyć, że Muzeum Narodowe zerwało z systemem kolekcjonerskim wystawiania eksponatów: to znaczy byle więcej, byle jak ustawiać, aby tylko najwięcej eksponatów widocznych pokazać. W praktyce eksponaty tracily swą wartość w toku, w pamięci zwiedzającego pozostawiając jedynie chaos tysięcy przedmiotów. W ostatnich latach wystawy w Muzeum komponowane są przez specjalnych artystów-grafików, pracujących nad tym, żeby wartość przedmiotu pokazywanego zwiększona została jego ustawieniem, żeby zwiedzający nie tylko zobaczył rzecz interesującą, ale by przy okazji otrzymał lekcję dobrego smaku w urządzaniu wnętrza. Stała wystawa zbiorów sztuki starożytnej uznana została przez kompetentne fachowo instytucje UNESCO za najlepszą eksponowaną wystawę na świecie.

RADIO I „NARZECZONA”

W Szczecinie uruchomiona została w grudniu nowa radiostacja. Wraz z początkiem roku opublikowane zostały zamierzenia Polskiego Radia, gdzie m. in. znalazły się pozycje tak interesujące jak dwie nowe, specjalnie dla radia napisane, powieści Jerzego Andrzejewskiego i Ksawerego

Pruszyńskiego. Jeżeli chodzi o tego drugiego — to jak widać z zamierzeń „Czytelnika” przerwie on w roku bieżącym swe dłuższe milczenie: „Czytelnik” zapowiada jego nową książkę, obok powieści Golubiewa i Zukrowskiego

Przy okazji warto zwrócić uwagę na to, iż Radio Polskie zapowiada inscenizację radiofoniczną (w ramach „Teatru Polskiego Radia”) znanej powieści Jeża „Naręczona Harambaszy”. Po dziwnie należy upór z jakim wydawcy polscy trzymają się tej właśnie powieści Jeża; od niej to mało szczęśliwie rozpoczęto „Bibliotekę Romansów i Powieści”, od niej wydanie zbiorowe pism Jeża, od niej pierwszą serię KUK-u, a teraz jeszcze na radio! Tam do licha! Dlaczego nie upowszechnia się innych świetnych dzieł powieściowych Jeża, a tylko tą najbliższą z jego bałkańskich powieści. Tym samym właściwie zniechęcając czytelnika do poznania innych, ciekawszych, doskonałych. Czas wreszcie oprzytomnieć — panowie redaktorzy! Wszystko to czyni wrażenie przedziwnej widowiska — pewne powieści krążą po Polsce w rozlicznych wydaniach jakby za pościśnięciem magicznej różdżki i nikt ich nie spróbuje skonfrontować z celo-

wością wydawania tej akurat książki. Przecież są inne powieści Jeża: arcyinteresujące fabularnie „W zaraniu”, doskonałe „Ci i tami”, „Dochłyszczyna”, „Szandor Kowacz”, by trzymać się tylko już wydanych. Dlaczego tylko „Naręczona Harambaszy” ma zdobywać nowych ludzi dla kultury polskiej? A może „erotyczny” tytuł ma być tym wabikiem kryjącym kiepską przynętę.

NOWE WYDANIA

Ukazał się pierwszy tom „Robinsona Crusoe” Dafoego. Po raz pierwszy od lat kilkudziesięciu jest to wreszcie pełne, nieskrócone i nieprzerobione dla dziecięcego użytku, wydanie sławnej powieści, którą współczesny czytelnik nareszcie może poznać w jej „dorosłej” nieskażonej postaci. Książka wydana starannie przez firmę Wegnera opatrzona jest wstępem Kotta. Drugi tom ukazuje się za kilka tygodni. Za kilka dni natomiast będzie w sprzedaży pełna edycja, również prawdziwa i na reszcie „dorosła”, złożona z wszystkich części, nie tylko „Hilipnich” i „olbrzymich”, „Przygód Guliwera”. Biblioteka klasyków rośnie.

Jerzy Artemski

Współczesność w zwierciadle sztuki

Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich, jak nazwa imprezy wskazuje, przy nosi widowni — oprócz ujętych w oddzielne grupy pozycji z repertuaru klasycznego i sztuk Gorkiego — dość obfity przegląd dorobku współczesnej dramaturgii radzieckiej. O tym właśnie chcemy mówić w dzisiejszej relacji. Przed tym jednak należy nieco bliżej sprzeciżować zadanie. Mamy tu na myśli sztuki współczesne o współczesności. Odpadnie więc z naszego przeglądu omawiana już na tym miejscu sztuka Bulhakowa pt. „Ostatnie dni”. Pozostanie to wszystko, co powstało po Rewolucji i to, co tych porowolucyjnych czasów bezpośrednio dotyczy.

Zupełna zmiana wszystkich warunków bytowania wpłynąć musiała także w stopniu decydującym na to, co się w odróżnieniu od przeszłości, nazywa teatrem radzieckim. Inne zainteresowania, inna problematyka, ba, inna nawet, wolna od wszelkiej konwencji, technika pisania. Stąd też już dzisiaj owe pierwsze pozycje teatru radzieckiego, ocalale przed surowym wyrokiem czasu, uchodzą za klasyczne podstawy rewolucyjnego teatru ZSRR. Tak też traktuje się dziś w Związku Radzieckim takie pozycje jak „Sztorm” Bill-Bielocerkiewskiego, „Przełom” Lawreniewa, „Sterować na lewo” Romaszowa, „Pociąg pancerny” „Nr 14-69” Iwanowa, „Lubow Jarowaja” Treniewa, czy wreszcie „Interwencja” Szawina. Dwie pozycje z tego dorobku obejrzelismy w ramach Festiwalu na scenie Teatru Polskiego w Warszawie: „Przełom” i „Lubow Jarowaja”.

Sztuka Lawreniewa dotyczy historycznego dnia, o którym napięte historyk Partii, że „krążownik Aurora” ogniem swoich dział, skierowanymi na Pałac Zimowy, obwieści 25 października (1917 r.) początek nowej ery”.

Autor wprowadza nas między innymi na pokład „Aury”, gdzie rozgrywa się kluczowa akcja sztuki. Mimo kłopotów technicznych, mimo trudności, przez jakie przebrnąć musiał inscenizator, zmuszony do operowania dość dużym tłumem marynarzy na malej przestrzeni pokładu, co z góry skazuje pewne sceny, najważniejsze zresztą, na stały tyczność, sztuka jest ciekawa ze względu na dość wierny obraz psychologicznego tłumy zamkniętego między uświada mianąją akcją czerwonych a polityką Rządu Tymczasowego, który — oprowadzany przez miewszewików i eserowców, wykorzystując swą podstawę prawną zgodną z intencjami imperialistów i broniącego straconych pozycji kapitału — usiłował odwieść, poprzez wpływ na Rady Żołnierskie, masę od rewolucji.

„Lubow Jarowaja”, sztuka napisana z większym znaczeniem scenicznym, przedstawia wypadki r. 1920 na Krymie. Nie jest rzeczą przypadku, że dzielny rewolucjonista Szawandia nosi

na głowie czapkę marynarza z „Aury”. W ten sposób dwie sztuki pisane przez różnych ludzi, ujmujących wypadki różne w czasie i w przestrzeni, mają coś wspólnego za podstawę, którą jest — jak się nie trudno domyśleć Październikowa Rewolucja.

W „Przełomie” przed inscenizatorem stoi jedyna właściwie, wspomniana już wyżej, trudność. Treniew, zgodnie z do tychczas uznawanymi prawami dramaturgii, postawił obok siebie na stopniu równorzędności dwa wątki: ideowy i osobisty (oczywiście: osobisty bohaterów sztuki). Dramat Lubowi jest bardziej sugestywny niż wewnętrzne przeżycia Zofii Pietrowej Berseniewej. Stąd niebezpieczeństwo dla inscenizatora, który łatwo może pobłądzić w chwili rozplanowywania akcentów. Dział niebezpieczeństwo to znacznie zmalało — perspektywa czasu ułatwia właściwe podejście. Pierwsze przedstawienie tej sztuki mi musiały, myślę, ze względu chociaż na sugerujące brzmienie tytułu, błędnie niejednokrotnie.

Dzięki Pracy Państwowego Teatru Powstającego w Łodzi i Państwowym Teatrom Dramatycznym z Krakowa mieliśmy możliwość obejrzenia polskich przedstawień tych sztuk, które zasługują już dzisiaj, poza ich wartością czysto artystyczną, na miasto historycznych dokumentów czasu przełomu. Tutaj poznaliśmy narodziny człowieka radzieckiego, któremu poświęcał później swą twórczość wszyscy niemal dramaturzy radziecy. Od Lawreniewa i Treniewa przeskoczyć musieliśmy więc w dzień dzisiejszy, prezentowany publiczności polskiej w sztukach Surowa, Jakobsona, a przede wszystkim Anatola Sofronowa.

Nagroda, którą w grupie sztuk współczesnych otrzymał obok Krakowa („Lubow Jarowaja”) Wrocław za „Moskiewski charakter”, zaszczyt musiała (jeśli zainteresowani wolni są od magalo-manii) w pierwszym rzędzie wykonawców tego spektaklu — zwłaszcza jeśli widzieli właśnie „Lubow Jarowaja”. W sensie czysto artystycznym obie te pozycje są nieporównywalne zarówno ze względu na trud, jak i na uzyskane rezultaty.

Wydaje się tedy, iż u podstaw oceny tkwiły inne, słuszne zresztą kryteria. Aby te sprawy zrozumieć cofnąć się trzeba nieco wstecz, do pierwszych wypowiedzi precyzujących sens ogłoszonego Festiwalu. Mówiło się wówczas dość wyraźnie o tym, że idzie tu nie tylko o czysto formalną rewiew osiągnięć. Takie założenie oddawałoby z góry auty przewagi w ręce kierownictwa dysponujących większymi możliwościami obsadowymi i technicznymi. Organizatorom szło również i o to co będzie grane. Bardzo dobrze napisana sztuka Sofronowa (mowa w tym wypadku o „Moskiewskim charakterze”) wybrały zaledwie dwa teatry: Wrocław i... Białystok.

Film

„CZARCI ZŁEB”

Scenariusz i dialogi — Tadeusz Kański, Scenopis — Aldo Vergano, Tadeusz Kański, Umberto Barbaro. Reżyseria i montaż — Aldo Vergano i Tadeusz Kański. Zdjęcia — Adolf Forbert. Dekoracje — Roman Mann. Muzyka — Kazimierz Serocki, wykonanie — wielka orkiestra symfoniczna Polskiego Radia z Katowic pod dyr. W. Rowickiego. Muzyka góralska — w wykonaniu kapeli góralskiej Obrochtów. Operator dźwięku — St. Urbanik. Kierownictwo produkcji — A. Pękalski.

Jednym z niepokojących objawów krytyki filmowej jest nieumiejętność hierarchizacji ocenianych zjawisk. Niezależnie od rodzaju, wagi, zasięgu ambicji realizatorów filmu, stosuje się niezmiennie te same kryteria oceny, terminologię i aparat analizy. Wydaje się jasne, że metodycznym błędem jest ocenianie tym samym aparatem terminologiczno-krytycznym „Ulicy Granicznej” i „Czarciego Złebu”, „Spotkania na Łabie” i „Kłóski szpiega”.

„Czarci Złeb” jest dobrze zrobionym

filmem popularno rozrywkowym. Scenarzysta Tadeusz Kański potraktował temat — służbę WOPu — wydając się słuszenie wysuwając na pierwszy plan prosto skonstruowany proces przeżyć jednostki. Przeżycia te związał ze środowiskiem, przedstawił atmosferę służby w tej specyficznej jednostce wojskowej, dał opartą na autentycznej aferze przemysłowej prostą, w miarę sensacyjną, fabułę i pozwolił jaknajwiększą rolę odegrać pejzażowi górskiemu.

Film jest łatwy, miły, bezpretensjonalny, a zgodnie chyba z zamierzeniami realizatorów paletyczny jest jedynie wkład natury.

Dostosowany do skali i tonu filmu wybór pozytywnego bohatera, Jaśka Gazdonia, górala-żołnierza, i sposób ustawienia tej postaci w filmie jest zasługą scenarzysty, reżyserów i wykonańcy tej roli Tadeusza Schmidta.

Wiemy kim jest Gazdon i to nie tylko dlatego, że go nam pokazano w stroju góralskim i kazano mu mówić nie

zawsze najszcześliwiej stylizowaną gwara, ale i dlatego, że stworzono naturalną, żywą, zrośniętą (nie strojem tylko ale i sylwetką psychiczną) ze środowiskiem postać, że wybrano odpowiedniego wykonawcę który dobrze, naturalnie i sugestywnie ujął cechy człowieka o którego prywatnych sprawach wiemy napewno mniej aniżeli o kierowcy ze „Skarbu”, ale którego znamy lepiej. Naiwność i prostoduszność Gazdonia została wygrana w sposób tak konsekwentny, że uprawdopodobniła całą może nie najprawdopodobniejszą fabułę i jej rozwiązanie.

Schemat czarnych i białych charakterów został tu usprawiedliwiony tym, że czarna stronę reprezentują przemysłnicy, a świat pozytywny został potraktowany bardzo bezpretensjonalnie, dość powierchownie poprzez niewybredny humor żołnierski. Może i przydałoby się gdybyśmy jeszcze poza Gazdoniem kogoś więcej osobiście poznali. Reszta bowiem przewijających się postaci to przedstawiciele zawodów: dobry oficer, gruby kucharz, sumienny sierżant — najschematyczniej naszkicowane typy.

Błądny wydaje się stosunek do folkloru, który został wstawiony jako element dekoracyjny i jest antyrealistycznie naiwny. Owo wesele, tańce, motyw Hanusi w końcowym epizodzie, etwarzająca wizję wsi widzianej oczami nieuczczarskiego estety.

Nowela filmowa artystycznie słaba i konwencjonalna ale mająca wyraźne dodatnią wymowę społeczną zyskała rumieńce z jednej strony przez doskonałą znajomość rzemiosła filmowego scenarzysty, z drugiej dobrą reżyserię i wreszcie w istocie wspaniałą pracę operatora.

Uderza w „Czarcim Złebie” trafne ujęcie funkcji dialogu bardzo zwiększonego, jasność ekspozycji, podkreślenie bez frazeologii zdrowych koleżeńskich stosunków w wojsku, płynny jasny montaż. Artystyczną wysoką wartość filmu determinująca zdjęcia — zarówno statyczne, pejzaż górskiego, począwszy od pierwszego zdjęcia wsi, jak i doskonałe ujęcia ruchu w epizodzie patroli i w całym ostatnim fragmencie walki z bandą przemytników. Na korzyść montażu można zapisać i to że niedostrzegalne są momenty w których aktorów zamieniają autentyczni narciarze. Wprowadzenie sylwetki prawdziwego górala (Krzepowski — stryj) w jednej z pierwszoplanowych ról, który w sposób niezawodny gra samego siebie, powinno być podwójną wskazówką: należy wykorzystywać jaknajczęściej nieaktorów w filmie i trzeba ostrożnie manipulować konfrontacją gwary autentycznej ze stylizowaną. LESZCZ

Nie chciałbym by relacja niniejsza umniejszała w jakimkolwiek stopniu wysoką wartość obrzytniej większości decyzji jury. Sumienie nakazywało mi ujęcie się za skrzywdzonym nieco — w moim osobistym mniemaniu — zespołem poznańskim. Nie w nagrodach jednak leżał sens Festiwalu. A sens właściwy, przegląd dorobku współczesnej dramaturgii radzieckiej, wprowadzenie go na scenę polską, przekonanie do niego widowni polskiej — doczekał się dużego sukcesu zarówno ideowego jak i artystycznego. Jerzy Artemski

K U P R A W D Z I E

(Dokończenie ze str. 2-giej)

dy obaj zajmowali się przyjmowaniem we Francji emigrantów wygnanych ze swej ojczyzny przez prześladowania hitlerowskie. W dziedzinie filozofii samej, gdy chodziło mu o ścisłą definicję „mentalności prymitywnej“ doczekał się tej radości, że jego dawny profesor na kilka miesięcy przed śmiercią zgodził się całkowicie z wysuniętą przez niego tezą. Upiływające lata pogłębiły jeszcze szacunek i przyjaźń jakie żywił Jakub dla swego profesora.

W epoce o której mówię, jedynie jaśniejsze chwile, jedyne zadowolenie umysłu dawali nam Spinoza i Nietzsche. Pamiętam, że przez kilka miesięcy Jakub upajał się po prostu „Etyką“, tą mądrością uważającą się za najwyższą i całkowicie wolną, skoro każe człowiekowi kochać Boga intelektualnie, nie oczekując miłości nawzajem. Tymi to właśnie idealami Spinoza starał się Jakub, oczywiście napróżno, pocieszać Ernesta Psichari, pogrążonego w rozpacz z powodu swej nieszczęśliwej miłości. Innym swym przyjaciółm udającym zblazowanych i chcących uchodzić za zniechęconych do wszystkiego, — głoszącym przytem konieczność pójścia na kompromisy, żeby „dojść do czegoś w życiu“, wykladał to, co sam nazywał „metafizycznym errytywizmem“ — czyli odrzucenie wszelkich kompromisów, żeby mieć możliwość zrealizowania siebie samego w absolicie. Spinoza zachwycał mnie wspaniałą logiką i zębaniem się swych dowodów, śmiałością wszystkiego co twierdził i tego na co wskazywał; budziło to we mnie nadzieję istnienia innej jeszcze filozofii niż relatywizm naszych mistrzów. To co podobało nam się w Nietsemie to namiętna pasja z jaką mówił o prawdzie, której śmierć jednak uporczywie głosił, to potęga z jaką zmiatał wszelkie przesady miernoty usadowionej w próżni, to zdzieranie wszelkiego rodzaju masek i ukazywanie tragizmu życia.

Ale czuliśmy doskonale, że nasz entuzjazm do Spinozy był tylko pięknym snem umysłu, wywołującym chwilową egzaltację czymś w rodzaju metafizycznego opium. Rze czywistość wymykała się z tego systemu wszystkim szczelinami. „Etyka“ była bezsilną wobec krzyku serca ludzkiego naprawę do tkniętego cierpieniem. Pociecha, jaka podsuwała człowiekowi od którego żądała więcej niż od Boga (gdyż sam Bóg — mieliśmy to zrozumieć z czasem — pragnie być kochanym wzajemnie) wydawała mi się śmieszna i żalona emfazą. Spinoza nie wzbudził w nas ostatecznie żadnego bardziej istotnego przekonania, a to co dawał nam Nietzsche było również tylko, pewnym upojeniem estetycznym umysłu. Pogarda dla słabych i nędznych, szaleństwo pychy tańczącej nad nicością — wszystko to trzeba przyjąć, gdyby chciało się naprawdę wierzyć w Nietsemego. Tym chlebem nie mogliśmy się żywić. Radość którą chwilowo czerpaliśmy ze Spinozy i z Nietsemego były jakby zawieszonym, po którym bardziej jeszcze czuliśmy pustkę i rozpacz jaka nas ogarniała.

„JARDIN DES PLANTES”

Pewnego letniego popołudnia przechadzaliśmy się z Jakubem po „Jardin des Plantes“; z którego pleonazmiczna nazwa po dziś dzień nadawana jest temu ulubionemu przez Paryżan, z lewego brzegu, niemożliwemu już, a pełnemu wdzięku ogrodowi. Między wieloma starymi drzewami można tam oglądać olbrzymi cedr z Libanu, który jakoby został przywieziony przez de Jussieu „w jego własnym kapeluszu“, jak głosi napis; jest tu również „labyrinth“, będący idealnym miejscem wypoczynku; jest muzeum „historii naturalnej“, jakieś starożytne laboratorium, niedźwiedzie w głębokich fosach; są i lwy w klatkach, terrarium z węzami, stonie w pagodach; baseny z pięknymi roślinami wodnymi;

mi; pary zakochanych siedzące w cieniu i wszędzie nianki z dziećmi.

Lubiliśmy zachodzić tam po wykładach, kiedy wychodząc z Sorbony szłam piechotą do domu, i jak wszyscy spacerujący po tym ogrodzie przyjaźniłymi się z bezbronnymi zwierzętami, które uszczęśliwić można kawałkiem chleba.

Ale dnia tego przechodziliśmy koło zwierząt nie patrząc na nie; nie zwracaliśmy nawet uwagi na niedźwiedzie, ani na fokki; stanowczo — nie byliśmy szczęśliwi; byliśmy nawet bardzo nieszczęśliwi.

Dokonaliśmy właśnie przeglądu tego, co zyskaliśmy przez te trzy lata w Sorbonie. Bez wątpienia był to dość imponujący багаż poszczególnych wiadomości naukowych i filozoficznych. Ale wiadomości te były u podstaw podminowane przez relatywizm uczonych, przez sceptycyzm filozofów. Szczęśliwi ci uczeni, którzy nie rozumują nad rozumem, których obchodzi tylko to, co widoczne i wymierne, którzy idą prosto przed siebie od jednego odkrycia do drugiego.

Nie należeliśmy również, mimo naszych dwudziestu lat do tej młodzieży pozującej na sceptycyzm, rzucającej swoje „czy ja wiem?“ lekko przed siebie jak dym z papierosa, sądząc przy tym w gruncie rzeczy, że życie jest doskonałe. Byliśmy wraz z całym naszym pokoleniem ich ofiarami. Istotnie, chociaż sceptycyzm nie daje się właściwie sformułować, bo ostatecznie wszystkie nasze sformułowania są w jakiś sposób afirmatywne, nawet kiedy wyrażają powątpiewanie, tym nie mniej jest sceptycyzm siłą działającą destrukcyjnie, zdolną zdezorganizować całe życie duchowe człowieka.

Chociaż wspomnienia moje napływają kolejno w miarę jak je przywołuję i stają przede mną w świeżych barwach dawnych moich przeżyć, przyznaję, że nie jestem już w stanie wzbudzić w sobie tego uczucia głębokiej rozterki i rozpacz, jakie trawiły moje młodzieńcze serce zamierające z głodu i pragnienia prawdy.

Taki metafizyczny niepokój przenikający do samych źródeł instynktu życia, może stać się powodem katastrofy, skończyć się samobójstwem. Sądzę, że w ostatnich ponurych latach, w Austrii, w Niemczech, we Włoszech, we Francji, tyśiące samobójstw, które miały miejsce, były skutkiem takiej właśnie rozpacz, bardziej jeszcze niż innych cierpień ciała i duszy.

Czułam, że coś podobnego mogło by się zdarzyć, gdyby (ale nie, ten naród, ta młodzież, którą znaleźmy do tego nie dopuści), gdyby Francja stała się krajem barbarzyństwa, gdzie okrucieństwo umysłu i prostactwo ducha stanowiąby prawa, gdzie z wartości ewangelicznych uczyniono by pośmiewisko, gdzie wolność umysłu byłaby zdeptana, gdzie panowałby najtwardszy utilitaryzm, fałszywy realizm i brutalna żądza władzy. Wtedy nie pozostałoby nam już nic więcej jak tylko błagać Najwyższego, aby nas czym prędzej zabrał z tego świata i zawołał pełne rozpacz *Nunc dimittis!*

Wydaje mi się, że tyśiące śmierci w naszych czasach mają swe źródło w tym ostatecznym zniechęceniu oszukanych dusz, które zawiodła wiara pokładana w ludzkość, w

tryumfującą się prawdę i sprawiedliwość, w dobroć i litość, we wszystko to, co nazywamy dobrem.

Na tym polegały mniej więcej ówczesne moje cierpienia, ale zostały one w sposób tak cudowny uleczone, że trudno mi teraz, po przez tyle słodyczy i szczęścia od czuć to, co czułam wtedy, przypomnieć sobie całą gorycz i bez nadzieję tych przeżyć. Zapewne, przychodziły potem i inne cierpienia, i inne trwogi, nawet bardzo wielkie, ale tego co dręczyło mnie wtedy nie zaznałam już nigdy. Nie zapomniałam tego jednak. Nie zapomina się wrót śmierci.

A zatem tego dnia powiedzieliśmy sobie, że skoro natura nasza jest tak ułomna, że posiada tylko jakąś pseudo - inteligencję, zdolną do wszystkiego — prócz do poznania prawdy, skoro, sądząc samą siebie musi dojść do tego wniosku, upokorzyć się, do tego stopnia wobec tego, ani myśl nasza, ani nasze czyny nie mogą mieć żadnej godności, żadnego znaczenia. Wszystko stało się więc absurdem, wszystko było nie do przyjęcia, mimo, że nie wiedzieliśmy nawet, co w nas zdobywa się na tę odmowę.

— Nie możemy żyć przesadami, dobrymi, czy złymi. Odczuwamy potrzebę oceny, wartościowania — ale jaką miarą? Gdzie jest miara wszystkich wartości?

— Chcę wiedzieć czy „istnieć“ to przypadek, szczęście, czy nieszczęście. Pogardzam rezygnacją i tym wyrzekaniem się rozumnego osądu, na co mamy tyle przykładów w koło siebie.

Nie chcieliśmy również ślepo chcieć; ten wzniosły absurd wydawał się nam potworem i budził w nas wstręt.

To co nas wtedy uratowało, to co z naszej istotnej rozpacz czyniło rozpacz niejako warunkową, — to właśnie nasze cierpienie. Ta godność umysłu, której nawet właściwie nie uświadamialiśmy sobie wyratowała nas przez istnienie w nas elementu nie poddającego się absurdowi ku któremu pchało nas wszystko.

Uważałam już siebie za ateistkę; nie broniłam się już przed ateizmem, przekonana wreszcie — a raczej wyniszczona przez tyle argumentów, podawanych mi jako „naukowe“. Ale w nieobecności Boga świat stawał się pustynią.

— Jeśli trzeba będzie jeszcze wyrzec się nadawania jakiegokolwiek sensu słowu „prawda“, rozróżnieniu dobra i zła, sprawiedliwości od niesprawiedliwości, wtedy nie ma już możliwości żyć życiem ludzkim.

Tej komedii nie chciałam. Mogłam godzić się na życie pełne cierpień, ale nie na życie, które było by absurdem. Jakub przez długi czas myślał, że warto jest żyć, żeby walczyć o sprawę upośledzonych, przeciwko niewolnictwu „proletariatu“. Szlachetność jego charakteru dodawała mu sił. Ale mimo to doszedł jednak teraz do tego samego dna rozpacz, do którego ja dotarłam.

Nie chciałam tego życia, którego sobie nie wybrałam, nie chcę w nim trwać, brnąć w tych ciemnościach. Ta komedia jest koszmarem; odgrywa się na scenie zalanej łzami i krwią.

Ani nasze głębokie porozumienie, nasze osobiste szczęście, cała sło-

dyż jaką może dać życie. ani piękno sztuki nic z tego nie pozwalało nam przyjąć bez żadnego powodu, (jaki nie byłby sens podkładany pod te wyrazy), nieszczęścia, nędzy, złości ludzkiej. Albo wytłumaczenie świata było możliwe, a nie mogło się to dokonać bez istotnego poznania prawdy, — albo też życie nie zasługuje na to, żeby choćby przez chwilę nad nim się zastanawiać.

— Gdyby na świecie było choćby jedno tylko serce dręczone cierpieniem, choćby jedno tylko ciało mągające się ze strasliwą zgrozą śmierci, to już wymagałoby to wytłumaczenia; i gdyby istniało tylko cierpienie jednego dziecka i gdyby nawet tylko zwierzęta cierpiały na świecie — i to także powinno doczekać się jakiegoś zadośćuczynienia.

— W żadnym wypadku ten stan rzeczy nie jest możliwy do przyjęcia, jeśli nie zna się źródła prawdy oświetlającej egzystencję. Jeśli takie światło jest nieosiągalne, to sama egzystencja staje się również rzeczą niemożliwą i nie warto jest żyć, w ogóle.

Jeśli... jeśli... I dodawaliśmy coraz to nowe ponure strofy do pieśni naszej rozpacz. Ale zawsze był w naszej duszy ten tryb warunkowy, który nas ratował. Była zawsze jeszcze ta znikoma nadzieja, że drzwi odemknęte na światło dnia.

Przed opuszczeniem „jardin des Plantes“, powzieliśmy uroczystą decyzję, która nas nieco uspokoiła: postanowiliśmy spojrzeć śmiało w oczy rzeczywistości — o tyle, o ile to było w naszej możliwości — zgłębić do dna, do ostatecznej konsekwencji wszystkie dane egzystencji tego nieszczęsnego i okrutnego świata, którego jedynym światłem dotychczas była filozofia sceptycyzmu i relatywizmu.

Nie chcieliśmy przyjąć żadnej maski, żadnej pociechy od tych starszych zasypiających w poczuciu swego złudnego bezpieczeństwa. Epi kureizm, którym nas częstowali, był mamidłem, niczym innym nie był również i stoicyzm, a estetyzm — za bawką. Nie godziliśmy się również na to, żeby uważać wszystko za skończone — z chwilą gdy przemówiła Sorbona. Świat uniwersytecki był wtedy tak hermetycznie zamknięty w swojej pewności siebie, że ten punkt widzenia był już pewną zasługą z naszej strony.

Postanowiliśmy więc na jakiś czas jeszcze zaufać nieznanemu; udzielaliśmy jakby pewnego kredytu egzystencji, jakby to miało być doświadczeniem naukowym, żywiąc jeszcze nadzieję, że na nasze namiętne wezwanie sens życia pojawi się wreszcie, że jakieś nowe wartości ukażą się nam tak jasno, że zmuszą nas do całkowitej zgody z sobą i uwolnią nas od koszmaru tego ponurego i zbudnego świata.

Postanowiliśmy także — jeśli to doświadczenie nam się nie uda, że rozwiązaniem całej sprawy będzie samobójstwo; samobójstwo — zanim jeszcze lata zdolają przysypanać nas kurzem dalekiej, odbytej drogi, zanim zużyte zostaną nasze młode siły. Chcieliśmy umrzeć, spełniając prosty akt odmowy względem życia, jeśli nie miało nam być dane żyć wedle Prawdy.

Przekład

Anny Iwaszkiewiczowej

